Nr. 33. Poznań, Niedziela 18. sierpnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Szlązacy w Poznaniu.

„Ośm wieków, jak od łona matki
„Szląsk nasz oderwano;
„Jak obcym na zdobycz dziatki
„Polskiej ziemi tej wydano,
„Ale póki głosu stanie,
„Szlązak wołać nie przestanie:
„Kochajmy się, trzymajmy się!

Tak śpiewał już przed dwudziestu laty zgasły przed niedawnym czasem poeta szląski, nieodżałowanej pamięci ks. Konstanty Damroth, znany więcej pod pseudonimem Czesława Lubińskiego. A słowa te nie są czczym frazesem! Mimo ośmiowiekowej rozłąki, mimo burz straszliwych, jakie przeszły ponad nieszczęśliwą tą, opuszczoną i zaniedbaną dzielnicą, lud szląski, o ile jeszcze ocalał przed zalewem germanizacyi, trzyma się wiernie narodowości swej i mowy, i kocha silnie świętą ojców spuściznę a wraz z nią Polskę całą, tę Polskę, która niestety tak mało dbała o „wydane obcym na zdobycz dziatki swoje“. Macierz sprzeniewierzyła się dziatwie, lecz dziatwa pozostała wierną macierzy i dziś coraz błagalniej wyciąga ramiona, coraz głośniej domaga się objęć matczynych.

W bezustannej walce o byt i niezależność polityczną Polska zapomniała o Szląsku. Ośmiowiekowa blizko rozłąka nie minęła bez śladu, — brat stał się obcym bratu. Korzystali z tego inni i w duszę ludu szląskiego sączyli kropelkę za kropelką jad nienawiści do najbliższych współplemieńców.

Bogu tylko wiadomo, ilu sposobami starano się powiększyć przedział, wytworzony przez nieszczęsny testament jednego z najdzielniejszych królów naszych i wynikłe z testamentu tego stosunki, jakiemi to fałszami karmiono w szkole i po za szkołą dziatwę szląską. Ale natura ma swoje prawa, których złość ludzka obalić nie jest w stanie. To też mimo wszelkich tych zakusów Szlązak pozostał czem był, pozostał Polakiem, i gdy nadeszła chwila przez opatrzność wybrana, — głośno się do polskości swej przyznał przed światem.

Zawiedzeni w swych nadziejach przeciwnicy nasi, nie mogą po dziś dzień uwierzyć, iżby przebudzenie się narodowe Szląska było wynikiem tych niezłomnych praw natury, i szukają przyczyny niespodziewanego dla nich objawu tam, gdzie jej niema, szukają bezustannie agitatorów i we wszystkiem dopatrują się impulsu zewnętrznego. Jakże łatwo atoli, gdyby nienawiść rasowa nie przyćmiewała im wzroku, mogliby się przekonać o mylności swych przypuszczeń. Właśnie Szląsk górny odrodził się narodowo bez wszelkiej zewnętrznej przyczyny, duch polski powstał tam z iskry niewygasłej, która tlała, na zewnątrz niewidzialna, na dnie duszy ludu, powstał że się tak wyrazimy, gdy nadeszła chwila stósowna, sam z siebie. Polska niestety i po dziś dzień bardzo, bardzo obojętnie zachowuje się względem tej dzielnicy, mało się interesuje ruchem polskim na Szląsku i niczem, ale też niczem nie przyczynia się do bujniejszego ruchu tego rozwoju I gdyby nie Szlązacy sami, którzy gwałtem nam się przypominają, heroicznemi wysiłkami broniąc się przeciwko wynarodowieniu, mało kto by u nas wiedział, że tam u źródeł Odry między Beskidami i Sudetami żyje przeszło milion czysto polskiego ludu.

Dziś Poznań sposobi się na przyjęcie gromadki gości szląskich, którzy pragną zapoznać się z nami bliżej, odnowić dawne stosunki braterskie i podziwiać owoce ducha i pracy naszej. Nikt ich do tego nie namawiał, nikt ich nie zapraszał, sami poczuli się do obowiązku odwiedzenia braci, do wzmocnienia węzła, który już pękać zaczynał, do zaczerpnięcia w bratnim uścisku dłoni otuchy, wytrwałości i nadziei do dalszej walki o przyszłość. Nie obejdzie się bez tego, aby i w tym wypadku nie dopatrywano się intrygi i agitacyi wielkopolskiej. Ludzie, przywykli na wszystko zapatrywać się ze stanowiska siły materyalnej, nie umieją już zrozumieć i pojąć potęgi ducha. Naszym obowiązkiem, najświętszym obowiązkiem, jest mimo takich podejrzeń przyjąć braci otwartemi ramiony, szczerą serdecznością nagrodzić im krzywdę, wyrządzoną przez ojców naszych, przygarnąć, przytulić do siebie. Wszakże to dzieci wracają w dom matki, silni i zdrowi na duchu, których już jako umarłych opłakiwano. A i sami przytem pokrzepimy się widokiem niespożytej siły żywotnej szczepu naszego, żywotności, która najsilniejsze przetrwa burze....

Stosunki zbliżyły nas do siebie. Ci, którzy stali na uboczu zapomnieni w chwili największej naszej potęgi, przychodzą do nas dzisiaj, gdy i nas nieszczęścia dziejowe gniotą ciężkiem brzemieniem, przybywają nas pocieszyć w strapieniu, połączyć siły swoje z siłami naszemi do wspólnej obrony zagrożonego żnicza narodowego, przybywają pokrzepić nas braterską miłością. Łączą nas dziś równa niedola, wspólne smutki, wspólne cierpienia, niechże krzepi nas więc wspólna praca, wspólna nadzieja....

Witajcie nam Bracia, wy, którzy dawnym ojców obyczajem uprawiacie glebę ojczystą, wy, którzy z podziemi ciemnych wydobywacie obcym na korzyść skarby mineralne i wy, którzy ducha narodowego wskrzesiliście znów w miastach straconych! Bądźcie przekonani, że odczuwamy wraz z wami wszelkie bóle wasze, że wdzięczni za miłość waszą, nawzajem serdeczną miłością odpłacać się wam będziemy. Po raz to pierwszy przybywacie do nas po ośmiowiekowej rozłące w pokaźniejszej liczbie, lecz przekonacie się łatwo, że jesteście jak w własnym domu. Niechże dawna łączność odżyje na nowo, ażebyśmy liczebnie i na duchu wzmocnieni śmielej w przyszłość spoglądać mogli.

Witajcie nam Bracia!

MILESZEWY.

Nowy cios bolesny spadł na skołatane społeczeństwo nasze. Jak już z pism codziennych wiadomo, dziedzictwo jednego z najszlachetniejszych i najdzielniejszych szermierzy naszych w walce o byt narodowy, nabyte zostało przez komisyą kolonizacyjną....

Wieść ta wywołała w całym zaborze pruskim i po za jego granicami, gdzie tylko dotarła, najprzykrzejsze, wręcz przygnębiające wrażenie. Materyalna strata jest w tym wypadku mniejszą od wielu innych, jakieśmy w ten sam sposób ponieśli w ciągu ostatnich kilku lat; — Mileszewy, to wioska średniej wielkości, wartości stukilkudziesięciu tysięcy talarów. Ale była ona drogą społeczeństwu naszemu jako wypieszczone i ukochane dziedzictwo męża, który w księdze najnowszych a tak smutnych dziejów naszych złotemi głoskami wypisał swe imię, położywszy około dobra naszego materyalnego i moralnego niespożyte zasługi; — a okoliczności, w jakich sprzedaż ta się odbyła, odsłoniły nam wielki i zatrważający upadek moralności w pewnych kołach naszych. Sprzedaż Mileszew znalazła głośny oddźwięk we wszystkich organach prasy naszej i zrodziła już obszerną literaturę. Sprawę, którą sprawcy tej brzydkiej frymarki ziemią ojczystą, z początku zagmatwać i w wręcz fałszywem świetle przedstawić się starali, — dziś, właśnie dzięki energicznemu wystąpieniu prasy naszej codziennej wyjaśnioną została do tyla, iż bez obawy i wątpliwości jakiejkolwiek sąd o niej wydać można. Skreślimy tu główne jej rysy. Ś. p. Ignacy Łyskowski pozostawił sześć córek, panie Donimirską z Buchwałdu, profesorową Wicherkiewiczową z Poznania, Sikorską z Brus, Sikorską z Inowrocławia, Lossowową z Leśniewa i Skrzy-

dlewską z Rzegotek, które majątek ten po nim odziedziczyły. Egzekutorem testamentu był p. Paruszewski z Obudna. Przez kilka lat dzierżawił Mileszewy ś. p. Szafarkiewicz, a gdy tenże w roku bieżącym zmarł, postanowiono Mileszewy sprzedać i przystąpić do podziału spuścizny. Potrzeby naglącej do kroku takiego nie było. Wszystkie córki śp. Łyskowskiego żyją w dobrych stosunkach, w stosunkach, których nawet strata kilku tysięcy marek na szwank narazić by nie mogła. Jakie motywa popchnęły więc sukcesorów do tak fatalnego kroku, dotychczas nie wiadomo; zdaje się, że jedynie chęć pozbycia się kłopotu, jakim obarczała ich administracya majątku. Gdy zamiar ten stał się głośnym, zgłosiło się kilku kupców Polaków, którzy już to w całości lub na parcelacyą między włościan polskich Mileszewy nabyć pragnęli. Cena przez nich ofiarowana nie odpowiadała jednakże życzeniom dwóch zięciów śp. Łyskowskiego, którzy w imieniu sukcesorów zajęli się zrealizowaniem zamiaru sprzedaży. Zgłosił się wówczas p. Władysław Paruszewski, syn powyżej wymienionego egzekutora testamentu i ofiarował 340 tysięcy marek. — Tu sprawa zaczyna się wikłać i przybierać charakter nieczystej frymarki. Wiedziano bowiem, że p. Władysław Paruszewski żadnego nie posiada majątku, bo co posiadał, to stracił; łatwo też można było się przekonać, iż nosi się z ukrytemi jakiemiś zamiarami, ponieważ przystępując do pertraktacyi i ofiarowując od razu znacznie wyższą kwotę niż wszyscy inni konkurenci, — Mileszew ani nie obejrzał. Równocześnie nie mogło być tajnem, że porozumiewał się z niejakim Starkiem. Niemcem, który uchodził za agenta komisyi kolonizacyjnej. Wszystko to plenipotenci sukcesorów wiedzieć byli powinni, ale wiedzieć nie chcieli. Bez najmniejszego skrupułu sprzedali panowie ci Mileszewy panu Wład. Paruszewskiemu za wspomnianą powyżej cenę, a p. Paruszewski jeszcze tegoż dnia odprzedał je z zyskiem 30,000 marek panu Starkowi! Dla zakrycia siebie kazał sobie p. Wład. Paruszewski wystawić poświadczenie, że p. Stark kupił Mileszewy na „własny rachunek“, a więc zapewnienie bardzo elastyczne.

Oto nagi szkielet tej smutnej sprawy. Rzuca ona cienie swe na wszystkie interesowane w niej osoby, nawet na tych z pomiędzy sukcesorów, o których, jak np. o prof. Wicherkiewiczu, z góry przypuścić można, że przystał na sprzedaż tylko pod warunkiem, że Mileszewy oddane zostaną Polakowi: a przedewszystkiem na obu plenipotentów rodziny i na pana Paruszewskiego, który nie wahał się odegrać smutnej roli pośrednika w brzydkiej szacherce ziemią ojczystą celem podreperowania opłakanych swych stosunków osobistych. Zionie z każdego rysu tej bolesnej sprawy upadek ducha, znieczulenie sumienia obywatelskiego u tych, którzy dotychczas w swem ręku dzierżyli przewodnictwo w publicznem życiu naszem, — i w tem właśnie spoczywa tragika bolesna. Cóż sądzić o społeczeństwie, którego członkowie podobnych dopuszczają się czynów? A już wręcz wstrętnym jest sposób, w jaki główni aktorowie dramatu tego przed opinią publiczną zakryć się starają. Jedni zastawiają się nieświadomością, — a p. Paruszewski owem elastycznem zapewnieniem p. Starka. Pan Paruszewski tę smutną posiada jeszcze odwagę, że grozi organom prasy, które w należyty sposób postępowanie jego napiętnowały, skargą o obrazę...!!!

Na szczęście pozostał jeszcze promyk nadziei, że niecna ta frymarka się rozbije. Nadzieja ta niestety nie opiera się na sumieniu i poczuciu obowiązku osób interesowanych, ale — li tylko na sądzie pruskim. Bolesna to ironia! Jedna z córek ś. p. Łyskowskiego umarła przed kilku laty (p. Skrzydlewska) i pozostawiła córeczkę, która po niej odziedziczyła prawo spadku, nad którem czuwa sąd opiekuńczy w Strzelnie. Sądowi doniesiono, że taksa sądowa Mileszew wynosi 404 tysiące marek, że przeto z wolnej ręki nie wolno ich sprzedawać taniej, bo wypadłaby ztąd krzywda dla sieroty. Więc na mocy tego sąd strzeliński odmówił podobno zatwierdzenia sprzedaży.

Jeśli atoli dzięki sądowi opiekuńczemu frymarka ta się rozbije, czyż znajdzie się kto, który Mieleszewy uratuje?

Jedynym pocieszającym objawem w tej sprawie jest głośne odezwanie się opinii publicznej, która bez wyjątku czyn ten potępiła jak najsurowiej. Nie znalazł się rzeczywiście nikt, któryby czyn aktorów dramatu mileszewskiego chociaż tylko złagodzić się starał. Czyż można ztąd wnioskować, że społeczeństwo nasze zerwało się z letargu, w którym spoczywać się zdawało, przygnębione straszliwemi wręcz doświadczeniami lat ostatnich? Oby tak było rzeczywiście, oby chromająca u nas od lat wielu opinia publiczna znów do dawnej wróciła czystości i siły, — inaczej przyszłość nasza przedstawiać się będzie tak czarno, tak ponuro, jak przedstawia się dziś nieszczęsna sprawa mileszewska!...

..ki.

POLITYKA.

Rzut oka na stosunki Szląska austryackiego.

Nie można zaprzeczyć, że opinia polska zajmuje się coraz żywiej sprawami Szląska austryackiego. Z zainteresowania się tego wypłynęła jedna wielka korzyść, mianowicie posunięcie naprzód sprawy gimnazyum polskiego w Cieszynie, na które ze składek, zbieranych we wszystkich dzielnicach wpłynęło 90,000 złr. Byłoby jednak karygodną jednostronnością sądzić, że przez samo ufundowanie gimnazyum sprawa polska na Szląsku austryackim stanie już na pewnym gruncie. Coraz częściej dają się słyszeć głosy, że cała praca narodowa w tej dzielnicy domaga się radykalnej zmiany kierunku. Coraz częściej spotykamy się z surową krytyką postępowania tamtejszych działaczów polskich.

Obecnie mamy w ręku sporą broszurę, wydaną we Lwowie*), której autor, występujący pod pseudonimem „Warszawiaka“, poddaje stosunki szląskie bystremu bardzo rozbiorowi i wskazuje przyczyny anormalnego stanu rzeczy. Autor, gruntowny znawca stosunków tamtejszych, wprowadza nas w samą treść życia szląskiego i daje obraz, jakiegośmy dotąd nie mieli. Dlatego uważamy, że pożyteczną będzie rzeczą, gdy podamy czytelnikom naszym główne myśli tej pracy, odsyłając do samej książki wszystkich tych, co się stosunkami szląskiemi bliżej interesują.

Samo zestawienie Szląska pruskiego z austryackim świadczy, że w życiu ostatniego tkwi jakieś zło specyficzne, tamujące rozwój polskości. Tu milion z górą ludności polskiej żyje w państwie, w którem żywioł polski nie ma prawie żadnego na sprawy wpływu — a jednak Górnoszlązacy radzą sobie sami, nie uciekają się do poparcia innych dzielnic, walczą z niemczyzną, rozwijają życie polskie, łączą się w liczne stowarzyszenia i t. d.; górnoszląski „Katolik“ ma przeszło 19 tysięcy prenumeratorów, a „Nowiny Raciborskie“ i „Gazeta Opolska“ po 3 do 4 tysięcy; przy wyborach, mimo nacisku, szerzonego nawet z ambon, lud wybiera swych kandydatów i wytrwale dobija się o swoje prawa. Natomiast na Szląsku austryackim, wchodzącym

*) „Ze spraw szląskich“, napisał Warszawiak. Odbitka z „Gazety Nardowej“. Lwów, 1895.

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

WANDA (*szorstko, ze wzgardą*).

Depcę powodzenie.

FIGURA.

Mąż pani uprzystępnia dzikość i niezrozumiałość jej kompozycyi: inaczej nie znalazłyby uznania u publiczności....

WANDA.

Powiadam panu, że mi o nic nie chodzi. Przeciwnie, brak uznania u takiej publiczności jest dowodem wartości mych dzieł i zaszczytem dla mnie.

KAZIMIERZ.

Zaszczytem?... ależ sława...

WANDA.

Zaszczytnym jest każden dowód braku wspólności cech moralnych z publicznością: — nie jestem rozumianą, więc jestem różną, więc jestem coś warta.

FIGURA.

Przepraszam. Noskowski....

WANDA.

Bondarzewska... czy mi ich pan stawiasz za wzór?

FIGURA.

Paderewski jest znany, rozumiany, uwielbiany.

WANDA.

Przez zagraniczną suggestyę.

FIGURA.

Porównaj pani swe utwory z jego utworami, a zobaczysz, czy są podobne.

WANDA (*między zębami*).

Głupiec! (*do Figury*) Lubisz pan bażanty?

FIGURA.

Co za skok w rozmowie! Pasyami.

WANDA.

To należy do poprzedniego tematu, a lubisz pan wino szampańskie?

FIGURA.

Pyszne!

WANDA.

A co pan wolisz, bażanty czy szampan?

FIGURA.

Czyż to można porównać! Bażanty swoją, szampan swoją drogą! Bażanta można porównać z inną tylko zwierzyną, a szampan z innem winem.

WANDA.

Paderewskiego porównać można z podobnymi do Paderewskiego, a Wandę Morską z podobnymi do niej.

FIGURA (*wybucha jowialnym śmiechem*).

I pani artystka zdobyłaś się na tak materyalistyczne porównania.

WANDA.

Pan często siadujesz w restauracyach, starałam się być przystępną w elementarnym wykładzie logiki.

FIGURA (*urażona*).

Możesz pani ostrzyć swe białe ząbki na mnie i publiczność, lecz niemniej dla niej pracujesz.

WANDA.

Nigdy!

FIGURA.

Więc dla kogoż tworzysz? Dla fal morskich? Nie zapłaczą jak w legendzie.

WANDA.

Tworzę, bo muszę. To dostateczny argument.

FIGURA (*tryumfująco*).

Bardzo pięknie; lecz potrzeba tworzenia zaspakaja się samym aktem tworzenia; nie potrzeba jej ogłaszania dzieł, ani koncertów.

WANDA.

Koncerty nie ja daję; a co do ogłaszania drukiem moich dzieł, to wykazujesz pan grubą nieznajomość praw natury twórczej; wiedzże, jeżeli zdołasz zrozumieć, że jest ona przedewszystkiem, w najwyższym stopniu natury

w skład państwa, które w podstawach swoich położyło równouprawnienie narodowe, w którem Polacy mają tak wielkie wpływy, sprawa polska znajduje się w stanie wprost rozpaczliwym, trzeba się uciekać do pomocy rodaków innych dzielnic, robi się dobrowolne ustępstwa germanizmowi i t. d. Przyczyna tego leży przedewszystkiem w „bezrobociu“ cieszyńskich przewodników narodowych. Rzecz się więc sprowadza do tego, o czem już poprzednio słyszeliśmy, mianowicie, że ludzie, którzy uchwycili ster instytucyi narodowych szląskich w swoje ręce, nie pełnią swych obowiązków i zawodzą zaufanie ogółu. Druga przyczyna jest szerszej, ogólniejszej natury. Szląsk pruski i austryacki, owa „Stara Polska“, jak do dziś gdzieniegdzie lud szląski tę swoją dzielnicę nazywa, nie ma prawie wcale innej warstwy ludności prócz zwartej masy ludu, pracującego na roli i w fabrykach. Wszelka zatem akcya narodowa musi z konieczności mieć charakter ludowy, pod grozą zupełnej jałowości. I jeżeli z tego punktu rozważać będziemy postępy samorodnego ruchu narodowego na Szląsku górnym i porównamy ostatni pod tym względem ze Szląskiem austryackim, to przyjdziemy do konkluzyi następującej. Na Szląsku górnym ruch narodowy, prowadzony pod moralnem przewodnictwem kierowników pism ludowych, idących solidarnie we wszystkich sprawach, czyni zdumiewające postępy i zacząwszy się w Bytomiu, dziś objął już Opole i Racibórz i dociera prawie pod mury Wrocławia. To rezultat wybitnie ludowego charakteru całego życia narodowego w tej dzielnicy naszej. Wszystko, począwszy od pism, a kończąc na towarzystwach, banku, czytelniach i t. p. ma tę cechę na wskroś ludową i dla tego sprawie narodowej tak dzielnie służy, bo masa ludu polskiego jest tam narodem, ona jest tam Polską! Tej cechy wybitnie, wyłącznie ludowej nie posiada działalność przewodników narodowych na Szląsku austryackim (po śmierci Stalmacha) i dla tego ruch narodowy idzie tam tak ospale.

Na Szląsku austryackim wiele dziś możnaby robić, czego się zaniedbuje i to robić bez żadnych zapomóg, bez pieniędzy. Skoro język polski „urzędowo“ uznany jest jako „drugi język krajowy“, więc możnaby wnosić podania w języku polskim, żądać sporządzania protokółów w tymże języku, wezwania i pokwitowania odbiorów powinny być polskie, akta notaryuszów mogłyby i powinny być pisane dla Polaków po polsku. Mamy przecież na Szląsku adwokatów, notaryuszów, sędziów nawet Polaków, ale nie przestrzegają oni tej kardynalnej zasady poszanowania rodowitego języka.

Wskutek tejże samej obojętności język polski nie znajduje należytego uwzględnienia w szkolnictwie. Chociaż ustawa wymaga, aby język wykładowy był w szkole zastosowany do języka większości dziatwy szkolnej, znajdujemy tysiące gmin wiejskich i miejskich, w których szkoły powinny być polskie, gdzie jednak ani jednej takiej szkoły nie ma. Nawet religii uczą katecheci przez powolność i wbrew ustawom kościelnym w wyższych klasach szkół ludowych po niemiecku. Ustawa wymaga, aby w gminie, gdzie jest 40 dzieci pewnej narodowości, postarano się dla nich o szkołę ludową w ich narodowym języku. W Cieszynie jest 7000 i więcej ludności polskiej, a dotychczas nie ma ani jednej polskiej szkoły, bo nikt o to upominać się nie chce.

W tym samym Cieszynie, który ma połowę ludności polskiej, w radzie miejskiej nie ma żadnego Polaka-narodowca (są Szlązacy, ale tacy, co dobrowolnie we wszystkiem Niemcom ulegają), a językiem urzędowym rady i magistratu jest język niemiecki. Tak samo dzieje się i w innych miastach (we Frysztacie, Boguminie, Skoczowie, Jabłonkowie i t. d.), gdzie — wyjąwszy Bielsko, Polacy stanowią nawet decydującą większość, i nikt się nie stara o zmianę tego stanu rzeczy. Nie lepiej jest w gminach wiejskich, gdzie Niemców często wcale nie ma. I tu językiem urzędowym jest niemczyzna, a nikt przeciw temu nie woła.

Wobec takiego biernego zachowania się względem praw językowych, nie dziw, iż żaden poseł sejmowy nie przemawia po polsku, choć mają do tego prawo. „Tłomaczą się tem, że chcą, aby ich rozumiano! Ale to czcza wymówka, gdzie idzie o zatwierdzenie praw narodowych i ich zdobywanie“.

Przy tak słabej odporności a właściwie przy zupełnym jej braku, czyż dziwna, że niemczyzna wciska się coraz natarczywiej do życia towarzyskiego, do urzędowych czynności wszystkich władz autonomicznych, ba! nawet do komitetów parafialnych, do metryk kościelnych! Co więcej, organiści zaczynają w kościołach wprowadzać śpiewy nabożne niemieckie, a księża odbierają przysięgę małżeńską w języku niemieckim.

Zaniedbanie korzystania z istniejących praw na rzecz polskości idzie w parze z oddaleniem się istniejących instytucyi narodowych od ludu.

Obecnie „w księstwie Cieszyńskiem nie ma prawdziwie ludowego towarzystwa, któreby do boju za sprawę narodową prowadziło tych 177 tysięcy Polaków przeciw 47 tysiącom niemieckich „współobywateli“. A co ten lud może, to się okazało, gdy ks. mons. Świeży założył „Związek szląskich katolików“. Zaraz przy pierwszej potyczce z wrogiem, t. j. przy ostatnich wyborach zdobyto trzy mandaty polskie.

Przy braku prawdziwego towarzystwa ludowego, nie ma również żadnych stowarzyszeń mieszczańskich, rękodzielniczych, ani dla starszych, ani dla młodzieży. Stąd mieszczaństwo pozostaje pod wpływem niemczyzny i powiększa stale zastępy renegatów. Pomimo to, że połowa niemal ludności Szląska — to robotnicy zakładów przemysłowych, nie ma tam ani jednego polskiego stwarzyszenia robotniczego.

Nie można powiedzieć, żeby praca śród ludu leżała zupełnie odłogiem, owszem, są pewne w tym kierunku usiłowania. Przedewszystkiem należy wymienić czytelnie. Istnieją one oddawna w Skoczowie i Jabłonkowie, a w ostatnich latach założono je we Frysztaku, Łazach, Michałkowcach i Karwinie. Dalej jest kilkanaście kółek rolniczych (niektóre z nich dodają w nazwie: „polsko-katolickie“). Wszystko to tworzy do trzydziestu małych ognisk, w których „jest rozdmuchiwany znicz narodowy“, wszędzie jednak pracują „szeregowcy“ w walce o sprawę narodową, a brak należytego kierownictwa i szerszego planu.

Najpożyteczniejszą czynność rozwinął był z początku „Związek szląskich katolików“, który liczbą członków prześcignął wszystkie tutejsze towarzystwa. Ostatnio ruchliwość i, co za tem idzie, wpływ „Związku“ znacznie się zmniejszyły,

Robi się też jeszcze w „Towarzystwie rolniczem szląskiem“, które przeszłego roku obchodziło swój 25-letni jubileusz istnienia wystawą. Do towarzystwa tego należą i ton mu nadają wielcy gospodarze, t. zw. „siedlacy“, mający po 60, 80, 100 i więcej mórg ziemi, przeważnie ewangelicy.

Trzeba przyznać, że ruch narodowy na Szląsku austryackim ma do zwalczenia poważne przeszkody.

Obok walki z niemczyzną trzeba współzawodniczyć nadto z żywiołem czeskim, który dzięki swej ruchliwości zdobył tu sobie szerokie prawa i dąży do kulturalnego opanowania okolic polskich. Należy jednak zrobić uwagę, że niebezpieczeństwo, które z tej strony grozi, jest naogół nieco przesadzane.

Ogromnie utrudnia pracę narodową niejednolitość wyznaniowa ludności polskiej. Blisko trzecia część jej jest wyznania luterańskiego, co utrudnia wyrobienie jedności, potrzebnej w walce narodowej. Zmarły przed kilku laty Piotr Stalmach, najdzielniejszy na Szląsku polski patryota, będąc ewangelikiem, umiał stanąć na gruncie wyłącznie narodowym i z tego stanowiska godzić różnice wyznaniowe. Następcy jego jednak nie umieli utrzymać się na

---

czynną, zmuszoną objawiać się i działać na zewnątrz w jak najszerszym zakresie. Tworzę, to znaczy: pragnę za pomocą tej energii, która jest we mnie, ujawnić materyał swej własnej duszy; wysadzić go z siebie i dać mu samoistne życie, życie nieodosobnione, lecz przeciwnie, wiążące się z ogółem, wnoszące do niego swój indywidualny pierwiastek; pragnę, mocą tego, co jest we mnie, co się nagromadziło i rozwinęło we mnie pod wpływem bodźców zewnętrznych, oddziaływać na świat i stać się dalszym odrębnym impulsem do nowego, wyższego życia.

FIGURA (*tryumfująco*).

Więc dla kogoż pani tworzy?

WANDA (*gorąco*).

Tak, dla ludzi! kiedy innej nazwy niema! Dla ludzi, z których moje uczucie wspólności człowieczej abstrahuje wszystkich, niegodnych tego miana.... Tworzę, lecz nie dla tych, którzy przychodzą do sali koncertowej, by módz powiedzieć, że byli, dla których koncert jest konwencyonalną rozrywką, zapełnieniem wieczora, gdy balu nie mają, miejscem trawienia obiadów, łapania posagów lub flirtu; nie dla tych, którzy kupują moje kompozycye, by leżały na fortepianie jako nowość, lub słuchają ich, bo ich znajomość jest obowiązującą w salonach. Dla tych tworzę, którzy muzykę odczuwają aż do szpiku kości! którzy drgają pod ich wpływem, dla których jest podnietą, rozkoszą, żywą cząstką ich życia; którzy mnie odczuwają lub których zdolnam obudzić i zmusić do czucia ze mną! Dla nich tworzę, do nich należę!

FIGURA.

Nawet ci odczuwaliby panią lepiej, gdybyś się zniżyła do nich i zrobiła ustępstwa ich gustom.

WANDA (*szyderczo*).

Ha, ha! wzniosłe zadanie parweniuszów łatwej sławy! Czyż pan nie wiesz, że krzywdzi się ludzi, zniżając się do nich? Że ten, który stoi od nich wyżej, ma obowiązek niepodlenia siebie, lecz uszlachetnienia ich? A podleniem się jest każden dobrowolny wysiłek w kierunku stania się czemś mniejszem i niższem, niż się jest i być może! Czy nie wiesz, że rozwój jest prawem etyki społecznej jak biologii? Czy nie wiesz, że niwelacya jest społeczną zbrodnią i że ci, którzy wyrastają nad tłum, nie po to przewyższają go o głowę, by im głowę ucięto na uciechę gawiedzi, lecz po to, by ten tłum, wznosząc wyżej oczy, rozwijał się tem samem. Ale zkądbyś pan o tem wiedział! To, co mówię, to maligna! pochlebna recenzya, oklaski — oto treść i prawda! (*gwałtowniej*) Co za dzikie żądanie, ustępstwo tłumom! My jesteśmy od tego, by ich oświecać i oświadamiać! Naszem przeznaczeniem jest wykształcenie ich barbarzyńskich dusz i umysłów! nie oni są nam wzorem, my im wskazujemy ideały! My, stojący wyżej od nich i ogarniający widnokręgi na długo dla nich niedostępne! Więc mamy kurczyć się i zginąć we dwoje, by zmieścić się w brudnym kotle powszedniego niechlujstwa i cuchnącej pospolitości, my, którzyśmy nad nie wyrośli i przestrzeni, czystego powietrza potrzebujemy dla swych rozwiniętych płuc, dla swych ruchliwych członków? Więc mam wplatać banalne zwroty w duszę duszy mojej, by mnie oklaskano? Precz ze sławą, jeżeli się ją zyskuje tolerancyą, pochlebstwem, poddaniem się pospolitości! Precz z powodzeniem, jeżeli ją warunkuje wspólność cech z grubą, nieokrzesaną duszą większości! Nie zrobię ani jednego ustępstwa ze swego indywidualizmu na rzecz mieszczańskich upodobań publiczności! Mnie chodzi o wartość dzieła i wpływu, nie o brawa! (*ucisza się nagle, szeptem do męża*) Zapomniałam, że mówię do bydlęcia z trzody.

FIGURA (*dobrotliwie*).

Szumi, szumi w młodej głowie. Chciałem dać pani radę.... Dla czego nie występujesz sama z koncertami?... Masz pani ładną buzię (przebacz staremu) dla niej wybaczono by ci wiele....

WANDA (*surowo*).

Co mi mają wybaczać? Pan widocznie nie miałeś do czynienia z ludźmi mego rodzaju, dla tego ja wybaczam ci obelgę.

FIGURA.

Ależ pani szanowna... przyjąć trzeba życie, jakiem jest.

tej wysokości. Stąd sprawą wzajemnego stosunku dwóch wyznań śród ludności miejscowej pozostaje nieregulowaną, czego wina głównie spada na ewangelików.

Jednym z czynników, wywierających najfatalniejszy wpływ na całe życie Szląska austryackiego, są jego stosunki agrarne.

Z 40 mil kwadr., stanowiących obszar Szląska austryackiego, 13 należy do arcyksięcia Albrechta, około 7 zaś do marszałka szląskiego, Mönnich-Larischa. Połowa zatem Szląska jest w rękach dwu posiadaczy. Ten fakt ma nietylko znaczenie socyalne, ale i wywiera ogromny wpływ na sprawę narodową.

Dwu tych właścicieli połowy Szląska zastępują tu, naturalnie, ich oficyaliści. Zarząd dóbr arcyksięcia czyli t. zw. „arcyksiążęca kamera“, to ogromna czereda „kulturträgerów“, która się czuje w pierwszym rzędzie powołaną do tego, aby, jak tu Szlązacy już powszechnie mówią, falą „bildungu“ zalać tę piastowską dzielnicę, a kulturę niemiecką pchać „nach Osten“ i uwiecznić tu „den deutschen Besitzstand“!

„Pod względem tedy narodowym jest to „główny sztab“ wrogiego polskości obozu, który potęgą swego moralnego i materyalnego wpływu ciąży jak straszna zmora nad całym tutejszym narodowym ruchem i życiem... Generalna dyrekcya tej kamery rozsiadła się w prastarym piastowskim zamku, a tuż obok tak starożytnej wieżycy, która pamięta dawnych polskich rycerzy, założono nieodzowny niemieckiego „bildungu“ warunek czy owoc, browar piwny.

Aby poznać, jaki ta „kamera“ wpływ posiada i jakiej potęgi jest władczynią, dość przyjrzeć się ruchowi, jaki się tu koło zamku odbywa. Ot często zobaczysz odświętnie ubranego księdza, który spieszy przedstawić się generalnemu dyrektorowi, bo kamera rozdaje tu probostwa, a właśnie jakieś probostwo wakuje. Duchowni „awansują“ tu z probostw gorszych na lepsze, tak samo jak urzędnicy. W zależności od „arcyksiążęcej kamery“ zostają wszyscy w ogóle, od policyanta aż do naczelników rozmaitych władz i urzędów państwowych czy autonomicznych.

A konary tego olbrzymiego dębu, którego korzenie głęboko są zapuszczone na wzgórzu zamkowem, sięgają na wszystkie strony, jak Szląsk szeroki i długi, i wszędzie obowiązki moralne, społeczne i narodowe, z własności płynące, nietylko nie są wypełniane, ale raczej wszystko się tak dzieje, aby polski charakter Szląska uległ radykalnemu przeobrażeniu.

Z.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Dawno już żaden wypadek nie wstrząsnął tak do głębi społeczeństwem naszem, jak sprzedaż Mileszew, dziedzictwa ś. p. Ignacego Łyskowskiego. Ale właśnie to oburzenie jest najlepszym dowodem przebudzenia się sumienia narodowego i zdrowego zwrotu w opinii publicznej. Podobnie też wyraża się toruński korespondent „Dziennika Pozn.“ Pisze on co następuje:

„Czyż to nie pocieszające, że szerokie już warstwy w narodzie pytają, troszczą się i dbają o to, co się z każdym kawałkiem ziemi naszej dzieje, gdzie ona się kurczy i odkrusza, a gdzie rośnie i dużeje? Wszakże cały naród pracował krwawo i spotniało na jej wzrost i kulturę, od najazdu jej bronił, a z dziczyzny brał pod pług i motykę na wspólne bogactwo narodowe. Wszakże mieniem i wolnością, zdrowiem i krwią zapewniał jej spokój, aby dorobek i dziedzictwo rosły w ręku synów narodu, których obyczaj narodowy ku temu nawet przywilejami uposażał z obowiązkiem silnego dzierżenia a wiernego i rozsądnego szafarstwa.

„W pierwszej ćwierci bieżącego wieku zaśpiewał o ludzie polskim piewca narodowy:

Z dziećmi on głodnemi
Te ziarneczka zgania,
Które pan po ziemi
Za cacka roztrwania.

„To zaśpiewał nie chłop, nie mieszczanin, ale szlachcic, bo Kaźmierz Brodziński, a przeczuwał już wtedy duchem wieszcza, że przyjdzie czas, w którym poczną za temi ziarneczkami ci, którzy się do kupy zganiali liczne a długie wieki. I pytać się będą, na co je roztrwoniono i wołać, że tego dosyć, bo złe wszystkich a więc i ich pobije.

„Nie lekceważyć więc objawów opinii publicznej, owszem liczyć się z nią, bo tkwi w niej zawsze to, co się już wyrobiło i czemś rzeczywistem stało w społeczeństwie. To też i w danym tu razie co do Mileszew stanąć przed tą opinią z prawdą nagą — fałsz sprostować zawczasu, prawdę przyznać, choćby grzech nawet zawierała, aby koić i jednać, zamiast ranić i rozdwajać.

„Nie należy gardzić nowemi, ani od pracy wspólnej sił tych odpychać, ale też nie dopuścić zubożenia narodu pomijaniem lub upośledzaniem wyrobionych wiekami pracowników.“

„Gazeta Gdańska“ pisze:

„Zaiste smutno, bardzo smutno, gdy się widzi ciągły ubytek tej ziemi polskiej, skropionej krwią i potem przodków naszych. Maluczko, a z czysto polskiego powiatu brodnickiego stanie się powiat niemiecki. Jedyna nadzieja jeszcze w ludzie polskim, który nabywa parcele coraz liczniejsze i na nich się powoli dorabia. Oby ten lud polski umiał się lepiej oprzeć pożądliwości i pokusie.“

„Dziennik Kujawski“ dodaje do wiadomości tej następujące uwagi:

„I cóż powiecie na to, czytelnicy, że Mileszewy, gniazdo takiego wielkiego patryoty, męża niespożytych zasług dla sprawy narodowej — zostały sprzedane — i to komu? — oto „Komisyi kolonizacyjnej!“ Cios to okropny dla sprawy narodowej w Prusach Zachodnich! Znowu około 100 polskich rodzin będzie wyrzuconych z ziemi rodzinnej. Nasi przeciwnicy cieszyć się będą, że zdołali za złoto nabyć właśnie to dziedzictwo, w którem przebywał mąż wielkiego serca i wielkich zasług dla Polski. Zapłacili oni chętnie z tego powodu kilka, a może kilkanaście tysięcy marek więcej, aby szyderczym głosem przypomnieć słowa Mikołaja: „Będziecie mieli Polskę, ale bez Polaków“.

Jeżeli tak dalej dziać się będzie, jeżeli nasze wyższe klasy często bez potrzeby wyzuwać się będą z ziemi ojczystej, wtedy niedługo zapanują u nas takie same stosunki, jak w Szląsku i na Mazurach w Prusach Wschodnich. Powie może niejeden: „Przecież na Szląsku żyją Polacy“. Niezawodnie, że żyją, ale pamiętajmy, że Szląsk był niegdyś cały polskim, a dziś już tylko trzecia część osiadła jest ludem polskim, który się niemczy powszechnie, gdy osiągnie wyższe stanowisko.

Jedna z córek Łyskowskiego wyszła za mąż za dr. Wicherkiewicza w Poznaniu. Spodziewano się powszechnie, że zasłużony mąż ten powstrzyma cios grożący, ale zawiodła nas nadzieja. Przecież nie godzi się rozpaczać. Budzi się silnie iskra poczucia narodowego pomiędzy ludem polskim, dla tego też odzywamy się do rodaków słowami Juliusza Słowackiego:

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec.

„Goniec Wielkopolski“ tak się odzywa:

„Wobec warunków, w jakich komisya Mileszewy nabyła, wobec tego, iż zgłosił się poprzednio inny nabywca Polak, że p. Paruszewski podobno większego majątku nie posiada, a fakt ten musiał być przez sprzedających przed aktem kupna omawiany, wobec tego wreszcie, że żadna ze spadkobierczyń ś p. Ignacego Łyskowskiego nie cierpi niedostatku, sprzedaż przedstawia się społeczeństwu polskiemu jako czyn, przynoszący tym, którzy jej dokonali, wstyd niezatarty, piętnujący ich nazwą złych obywateli i obywatelek.

Oby społeczeństwo nasze występowało jak najsurowiej w razach podobnych, a opinia nie znała pobłażliwości.“

Dosadniej jeszcze piętnuje czyn ten „Orędownik“:

„Krew ścina się w żyłach na takie postępowanie, wstyd prawie być Polakiem — nie ma się odwagi spojrzeć Niemcowi w oczy!!

Nie ma dla tych pań i ich mężów żadnego wytłomaczenia. Wszyscy z nich są w dobrem położeniu materyalnem, ale nikt z nich nie chciał przejąć Mileszew. Byli podobno rodacy chcący kupić Milszewy, ale dla marnych kilku tysięcy trzeba było sprzedać Kolonizacyi.

Sądziliśmy, że kobiety nasze gorętszemi są Polkami, że do ostatka trzymać się będą tej ziemi, gdzie stała ich kolebka — niestety, sprzedaż Mieleszew poucza nas inaczej!!

Cześć wam — polskie kobiety — za sprzedaż ziemi polskiej na Kolonizacyę!!

Że sprzedażą Mileszew ma się tak, jak dr. Rabski scharakteryzował sprzedaż wsi w dramacie swym „Zwyciężony“. Był to wierny obraz, który się teraz żywo przedstawia przed oczy!

W okręgu Pszczyńsko-Rybnickim na Górnym Szląsku centrum postawiło na kandydatów

---

WANDA.

Trzeba odrzucić z życia wszystko, co być nie powinno, i raczej zaprotestować przeciw wszystkiemu, niż zgodzić się na jakikolwiek brud. Masz pan moje.

FIGURA (*z wyższością „doświadczonych“*).

Tak się mówi, gdy się jest młodym.

WANDA.

Mówi się inaczej, gdy się zarażono zgnilizną, lub gdy się jest tchórzem!

FIGURA.

W każdym razie, może gra twoja robiłaby większe wrażenie!

WANDA.

Przecie Kazio ma ogromne powodzenie.

KAZIMIERZ (*niespokojnie*).

Wandziu, czyś niezadowolona z mego wykonania?

FIGURA.

Ależ pan grasz wybornie! Jednak twórca... (*spogląda na zegarek*) A, jak późno! A mam tyle interesów.... Żegnam państwa! (*wychodzi*).

KAZIMIERZ (*klęka przed Wandą*).

Pani moja, ty się gniewasz na mnie?...

WANDA (*hamując rozdrażnienie*).

Wstań Kaziu; wiesz dobrze, że niema o co.

KAZIMIERZ (*obejmuje ją rękami*).

Jam tak szczęśliwy, że sława twoja jest dziełem mojem....

WANDA (*odrywa mu ręce*).

Wiem, nie mam żadnej tu zasługi... Sława to nie moja rzecz.

KAZIMIERZ (*przerywa jej*).

Talent mój jest podnóżkiem twojego... drutem telegraficznym, po którym od ciebie przechodzą na ludzi wstrząśnienia... przezemnie świat cię czci... bóstwo moje!

WANDA (*trzyma jego ręce, by jej nie obejmowały*).

Jeżeli rzeczywiście mnie kochasz, nie pracuj dla mnie. Chcę sama bez niczyjej pomocy przebyć wszystkie trudności. Ty mi dajesz racyonalny czy błędny ból uczucia, że to nie moja zasługa; odbierasz mi wrażenie własnej wartości, ranisz dumę reklamą.

KAZIMIERZ (*smutnie*).

Więc i moja pomoc cię upokarza? Pomoc człowieka, który radby dla ciebie spłonąć na stosie i na pal być wbitym... (*namiętnie*) O, nie, nie chcę umierać! Wszystkie tortury znieść, byle w końcu mieć ciebie! pracować dla twej wielkości i za pracę tę mieć cię całą — bezpodzielnie! Tylko, tylko dla ciebie! (*obejmuje ją ramieniem*). I dla ciebie być wszystkiem.

WANDA (*idąc za własną myślą*).

Kto wypełnia swe życie życiem jednego tylko człowieka, zbankrutać musi, bo całkowite oddanie duszy, drugiej, jest złudnem pragnieniem miłości, nie mającem odpowiednika w świecie realnym... Wreszcie to fetyszyzm!

KAZIMIERZ (*smutnie*).

To nie fetyszyzm... to codzienne wzrastająca rozpacz... Ty mi życie przepełniasz, lecz ja... pragnę tem być dla ciebie, czem jesteś dla mnie, lecz ci nie wystarczam... jam tylko szczegółem w tem życiu... Zamykasz twą duszę przedemną... nic nie wiem o tobie. Tyś mi nigdy całego dnia nie poświęciła... skąpisz mi ust swoich i czasu... Tobie potrzebnem jest wszystko życia; ja jeden cię nudzę... nudzę... prawda?...

(*Wanda roztargniona*).

KAZIMIERZ (*gorzko*).

Jam ci wszystko oddał! potęga twoja przykuła mnie do ciebie! Miałem niegdyś indywidualność twórczą; byłem kompozytorem genialnym: lecz ciebie usłyszałem i indywidualność twoja zabiła, pochłonęła moją! Teraz, gdy chcę tworzyć, powtarzam ciebie, i jak nędznie! Umiem już tylko być wykonawcą twych nieśmiertelnych dzieł! I z duszą to samo. Twoja pochłonęła moją, jak ocean kroplę słodkiej wody, niszcząc jej własności... Oceanie mój porwałeś mnie... czy mnie ty chcesz teraz wyrzucić na piaski?

WANDA (*badawczo*).

Dla czego chcesz mnie uczynić sławną?

KAZIMIERZ (*gorąco*).

Byś mnie zawdzięczała swą wielkość! Słuchaj... (*cicho*) ja ciebie kocham do obłędu...

do sejmu i parlamentu wbrew życzeniom ludu polskiego p. p. bar. Huenego i rektora Latacza. Z tego powodu „Gazeta Opolska“ pisze:

Co wyborcy w Pszczyńsko-Rybnickim na powyższe kandydatury powiedzą, nie wiemy. My jednak z nich nie jesteśmy wcale a wcale kontenci. Pan baron Huene zasłużył się wprawdzie przez założenie bardzo pożytecznego związku włościańskiego, rozciągającego się na polski i niemiecki Szląsk i wydającego czasopismo niemieckie i polskie (w tłomaczeniu). Pan Huene należy jednak do owych posłów z centrum, którzy byli za wojskiem, tak samo jak p. baron Reitzenstein, który go polecał. Pan Huene był w ostatnich wyborach do parlamentu w trzech okręgach jako kandydat na posła do parlamentu postawiony i we wszystkich trzech przepadł. Po polsku wcale nie umie.

Co do rektora Latacza, to właśnie przy dzisiejszym systemie szkolnym właśnie od rektora wiele spodziewać się nie można, bo choćby nawet miał dobrą wolę, to musi się liczyć z urzędem i stanowiskiem.

W ogólności o obydwóch kandydaturach trzeba powiedzieć, że są one kandydaturami niemieckiej partyi arystokratycznej, a tu chodzi o polski lud.

Widać ztąd, jak niepomyślnie ostatnim razem podług nowego regulaminu polscy wyborcy wybrali komitet, pomimo, że regulamin ten dość korzystnie jest ułożony. Polega to na tem, że w wielu okręgach jeszcze lud nie mając dosyć oświaty, na wszystko mówi: tak, tak, nie zastanawiając się nad tem, czy nie mówi na swoją szkodę. W Pszczyńsko-Rybnickiem jest jeszcze po części wielki brak oświaty.

Jaki komitet wyborcy wybrali, takich będą mieli posłów“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Dziennik chorwacki, wychodząca w Zagrzebiu „Hrvatska“ pisze:

„My Chorwaci jako naród, jesteśmy w świecie mało znani. Otóż dowód: Podróżując po Włoszech wraz z innym Chorwatem, nie wiedzieli Włosi kim jesteśmy, mianując się Chorwatami. Gdyśmy im ów wyraz powiedzieli, pytali się, gdzie jest owe królestwo Chorwacya. Znali nieomal wszystkie kraje i narody, ale nie znali Chorwacyi. Mój przyjaciel pisał mi z Insbruka, że tam spotkał się z Francuzem, dr. Furis, który nic nie wiedział o Chorwatach i Chorwacyi.

„Na wystawę węgierską, jaką się urządza w Budapeszcie, przyjadą ludzie ze wszech krańców świata. Czy tam będą mieli sposobność nabycia odpowiedniego pojęcia, co to są Chorwaci? Jak słyszymy będą tam figurowały nazwiska Chorwacya, Sławonia i Bośnia; czy ktokolwiek się domyśli, że nazwiska te oznaczają jeden kraj, kraj chorwacki? Ileż to różnic pomiędzy nami, choć jesteśmy połączeni politycznie i pod jednem żyjemy berłem!...

„Wystawa węgierska powinna się dla nas stać sposobnością pożądaną, aby światu pokazać, że naród chorwacki żyje, że z Madziarami spółrzędne zajmuje stanowisko, że za Drawą i Dunajcem to piękny kraj nasz chorwacki“.

* * *

Bułgarska „Swoboda“ pisze pod nagłówkiem „Polskite Westnicy“ (Polska prasa) co następuje:

„Wszystkie polskie dzienniki, z wyjątkiem tych, na których leżą okowy barbarzyńskiej cenzury rosyjskiej, jednogłośnie i z największemi pochwałami się rozpisują o zasługach, które położył Stambułow. Surowo potępiają one bestyalskie zamordowanie (zwirskoło ubijstwo) Stambułowa, szczerego patryoty bułgarskiego. Nie jest dla nas możliwem przedrukować owe artykuły, które się w sprawie tej pojawiły w prasie polskiej, tak dla ich znacznej liczby, jako też z tego względu, że w nich surowo potępia się obecny rząd bułgarski i upatruje moralnych sprawców zbrodni w księciu i jego otoczeniu. Nie czynimy tego, aby nas również nie posądzano, że podkopujemy powagę rządu i tronu.

„Głosy prasy polskiej, jako reprezentantki narodu tak wysoko ucywilizowznego, powinny mieć dla nas znaczenie, niechaj je sobie rozważą ci wszyscy, którzy nasz naród i naszą młodzież uwodzą, jakie to mniemanie ma o wrogach Stambułowa Europa“.

* * *

Młodoczeskie „Narodni Listy“ tak odpowiadają Bismarckowemu organowi, „Hamburger Nachrichten“, który zaleca Niemcom austryackim umiarkowanie wobec Słowian:

„Najwięcej w bismarckowym organie, w cytowanym artykule jest specyalnie bismarckowskiego cynizmu. Że daremnem jest każde pokuszenie o rządy Austryi przeciw Słowianom, jest oczywistem. Nieprawda atoli, jakoby w Austryi prób tego rodzaju nie czyniono, bo koalicya ostatnia była skierowaną przeciw Słowiańszczyźnie. Że w niej zasiadali Polacy, którym jest obojętne, kto w tej dobie do rządów się dostanie, ponieważ oni nie dla swych właściwości narodowych, ani dla mądrej polityki, ale wyłącznie z powodu polityki zagranicznej, jaką musi prowadzić Austrya, zbierać będą śmietankę w państwie, oraz że w niej zasiadał Kljun, Słowiniec, z tego wywnioskować nie można, iż koalicya była słowianofilską.

„Lewica niemiecka nie byłaby kwestyi cylejskiej tak wielkiego znaczenia nadała, gdyby do tego nie była zmuszoną z powodów innych. Lewica nie upadła skutkiem niedostatku chytrości, gdyż bezwzględności i wiarołomstwa nie potrzeba jej było uczyć się od Bismarcka. Liberalizm niemiecki upadł w Austryi skutkiem tego, iż się wszystkim tradycyom liberalizmu sprzeniewierzył, że Niemcy przekonali się, iż hasła jego to hasła wyzysku ekonomicznego i wyzysku żydów. Liberalizm niemiecki spadł w Austryi jako stronnictwo kapitalistyczne, którego egzystencyą podkopał drobny przemysłowiec i robotnik“.

D. K.

BADANIA NAUKOWE.

Do jasnej góry.

III.

Rzecz charakterystyczna, ilekroć zdarzyło nam się odczytywać opis świętej uroczystości, jakiej widzem był p. Wł. Reymont, zawsze otrzymywaliśmy te same wrażenia. Pątnicy islamscy w swojej pielgrzymce przedstawiają takie, może nawet jeszcze głębsze rysy, taką samą ufność i wiarę, która uzdrawia w niektórych chorobach; Hindusi, spieszący pogrążyć swoje grzeszne i chore ciało w świętych wodach Gangesu, posiadają podobną fizyognomię duchową, święto Zuniów, którego obchodem lud ten usiłuje wymodlić zdrowie i urodzaje, odznacza się takąż rytmiką spazmu i jęku. W tem wyładowaniu się uczucia, w ekstazie szlochającej, dogmat nie odgrywa najmniejszej roli, t. j. objawy i uwydatniająca się fizygnomia duchowa są wszędzie jednakie, bez względu na założenie oraz treść artykułów wiary. Ktoś z tego gotów wywnioskować, iż rozpatrywane uczucia, będąc tak rozpowszechnione, stanowią nieodłączną przynależność wszystkich epok rozwoju dziejowego. Nie, taki wniosek jest stanowczo nieuzasadniony.

Śród sprężyn, wydobywających z piersi ludzkiej ów jęk, musimy na pierwszem miejscu postawić poczucie własnej niemocy. Zola w najnowszej powieści roztacza obraz pociągów, zapełnionych szczelnie chorymi i kalekami, pędzących do Lourdes. Sceptyk, którego lekarze opuścili, z ostatnim błyskiem nadziei udaje się do miejsca świętego. A nuż pomoże! Ktoś inny, już umierający, czyni to samo. Przyjrzyjmy się tym obliczom w wagonie, noszącym na sobie znamię cierpienia, przysłuchajmy się rozmowom i życzeniom, tonowi melodyi i treści śpiewów, a zrozumiemy, że religijność tych

---

pragnę do męczarni... chcę cię posiadać, ciebie, potęgo! posiadać, by jej nie czuć! — by, czując cię słabszą, wątlejszą odemnie, stracić poczucie twej wyższości i mocy!

WANDA (*wstrząsa się, zrywa*).

Coś powiedział?... (*odpycha go*) chyba nie znasz znaczenia, brutalności tego, coś powiedział!

KAZIMIERZ (*wybucha*).

Tak... pragnę cię!... bądź wielką i potężną... lecz w mych ramionach jesteś słabą, czarującą kobietą tylko! Posiadam cię w zamian za twą potęgę czaru nademną! W zamian za duszę zwichniętą, w zamian za zniszczoną karyerę, za podległość myśli i męczarnie namiętności, jesteś moją!

WANDA (*gwałtownie chwytając się za głowę*).

Więc to tak? (*dziko*) ha! więc wy, mężczyźni, siły mej nie znosicie? Jedni chcą ją wprost złamać! a drudzy żądają odwetu! — podli!

KAZIMIERZ (*gwałtownie*).

A nie podłem jest zniszczenie indywidalności, twórczości, życia?

WANDA (*szyderczo*).

Ha, ha! Czyście wy mieli odrębność jaką?... Czy walczyłam z wami? Czyście przedstawili mej sile waszą?... Czym was chciała ujarzmić, opanować?

KAZIMIERZ.

Tak, tak! Wyzyskałaś mnie, teraz ci już nie jestem potrzebny!

WANDA (*gwałtownie*).

Ja cię wyzyskałam?... jam potrzebowała ciebie?... Czyś zapomniał, że policzkiem dla mnie jest każden twój koncert, obelgą, twa wspaniałomyślna reklama? Ja jej nie chcę! nie chcę! (*oburzona*). Ja cię wyzyskuję. Tobie przypisują moją twórczość nawet! Grę twoją czczą w hymnach krytyk pochwalnych! Ty zbierasz laury mej pracy i jeszcze ci mało?... Ha, ha! ja mu „karyerę“ zniszczyłam! (*ze wzgardą*) mnie o nią nie chodzi, zabierz ją sobie! (*wstrząsa się*). Dla czego ty mnie zmuszasz do słów brutalnych? Przecie to co robisz, robisz z przywiązania, sam, wbrew mej woli!

KAZIMIERZ (*chwyta ją w objęcia*).

Ja chcę ciebie! Tylko ciebie! Ciebie całą!

WANDA (*odsuwa go, z goryczą*).

Tak, tylko mnie, mnie całą! Wiem, że to mało; lecz ty nie wiesz, że to niemożliwe!

KAZ6MIERZ (*z gorączką*).

Dla czego niemożliwe?

WANDA (*z powagą i smutkiem*).

Bo niczyją być nie potrafię i nie powinnam, bo tylko niepodległa, rządząca sobą i sama mogę oddać duszę swą światu... Należę tylko do siebie i wszystkich! Zacieśnienie uczuć myśli, marzeń, zabija... Wszystko, co mnie krępuje, wyniszcza... Miłość, jak reszta. Każden gatunek dusz wymaga dla swego rozwoju pewnego mniejszego lub większego stopnia swobody. Mnie jej potrzeba, bezgranicznie.

KAZIMIERZ (*gorzko*).

O! ty mnie nie kochasz! tak nie mówi kobieta, gdy kocha.

WANDA.

Czyż mnie sądzić można jako kobietę?...

KAZIMIERZ (*gwałtownie*).

Ja chcę ciebie nią mieć!

WANDA (*odrzuca dumnie głowę*).

I mieć nie będziesz! Przez ciebie mówi mężczyzna, a ja schylam głowę przed człowieczeństwem, nie przed płcią!

KAZIMIERZ (*wstrząsa nią dziko*).

Myślisz, że nie mógłbym postąpić z tobą, jak mi się podoba? Jesteś w mojej mocy!

WANDA.

Gardzę tobą! Spróbuj! (*patrzy na niego hypnotyzująco, z pogardą*).

KAZIMIERZ (*odsuwa się z dreszczem*).

Gardzisz mną... (*dziko*). Ach, jak ja ciebie nienawidzę! (*patrzy na nią*). Jak ja cię kocham!

WANDA (*gorzko*).

Tak, kochasz, by osiągnąć to, czegoby nie dostąpiła nienawiść!

(*Milczenie*).

pątników to nieustający okrzyk rozpaczy w obliczu nieubłaganej grozy śmierci — tam, w obawie i jednocześnie w nadziei wyzdrowienia zamarły inne głosy, ucichły wszelkie powątpiewania. Kompania, udająca się do Jasnej Góry, przedstawia ten sam obraz: pątnicy ciągną tam szukać leków i ukojenia. Jedzie staruszka, która od lat dwudziestu nie chodzi — sama, bez dzieci i wnuków, bo je zabrał Pan Bóg, i mór, i człowiek. Pragnie ona wyprosić lekką śmierć dla siebie. Tęgą i energiczna baba wiezie dotkniętego suchotami syna: powędrował z innymi do Brazylii, wrócił, naturalnie bez pieniędzy, ale za to z zarodkiem nieubłaganej choroby. Jadą wozy za wozami, na których widać to ślepych i chorych, to sparaliżowanych, to dotkniętych niemocą, na którą nie ma u ludzi lekarstwa. Przesuwa się karawana dusz i ciał okaleczonych, okropny teatr życia, jak sen pelen widziadeł dręczących. „Widzę i czuję — pisze z tego powodu p. Wł. Reymont — przez te grube powloki, przez wychudzone maski twarzy, mam prawie zupełną świadomość stanu ich dusz i ich cierpień. Widzę, że nie na spacer idą, wiem, po co idą. I moje „ja“ sceptyczne, ironizujące, bo wyhodowane w ciasnej komórce życia miejskiego, cofa się z trwogą i podziwem, stoi zdumione i niepewne wobec tylu cierpień, tylu trosk, tylu boleści... Widzę i czuję, że tu, w tym tłumie nie ma prawie serca, duszy, głowy, któraby nie niosła brzemienia niedoli, coby nie szła z ufnością i nie wierzyła, że skoro położy łzy swoje przed Panienką Najświętszą, skoro jej wypowie ból swój, skoro otworzy serce zbolałe — wszystko to otrzyma. I coby robiły wszystkie te dusze, bóle, skargi cierpienia, nędze wszelakie, gdyby je teraz, natychmiast, ogarnął mrok zwątpienia i nie wiedziały dokąd iść i nie wiedziały, w co wierzyć i komu się oddać w opiekę z tą bezgraniczną ufnością?“

Niemoc więc wszelaka, duchowa i fizyczna, ciągnie do miejsca świętego, ufna, że na dolegliwości i zmartwienia znajdzie tam ukojenie. Gdybyśmy liczbowo ocenili obfitość różnych żywiołów, biorących udział w pielgrzymce, gdybyśmy w ciągu dalszym przyjrzeli się fizyognomii duchowej każdej z tych gromad pątniczych, gdybyśmy wreszcie zanalizowali naturę spazmu, wydobywającego się z piersi pielgrzymów, stosownie do pochodzenia tego, który go wydał, naówczas ujrzelibyśmy, że rytmika ekstazy i jej barwa są kategoryami natury społecznej, t. j. zmieniającemi się w zależności od trybu życia tego lub innego pątnika: u włościanina jest ona inną, aniżeli u mieszczucha, głębszą, bo wstrząsającą całem jestestwem. Religijność ludu wiejskiego tem samem jest zgoła odrębną. I właśnie niemoc stanowi w niej akord panujący — bardziej, niż u jakiejkolwiek innej warstwy, pokrewny językowi, rozbrzmiewającemu w hymnie: „dnia onego, dnia strasznego“.

Inaczej zresztą być nie może, bo tak każe włościaninowi postępować cały tryb jego życia. Wszystkie warunki jego bytu składają się na taki spazm bezsilności. Miasto sprzyja sceptycyzmowi: jego mieszkaniec nie troszczy się o kaprysy przyrody, nie trwoży się, kiedy na dalekim widnogręgu wisi czarna chmura, zwiastunka może gradu. Życie jego płynie z dnia na dzień, zabezpieczone przed niespodziewanym kataklizmem, tak samo prawidłowo, jak odchodzą i przybywają pociągi na kolei. Na każdym kroku, tam w mieście, przyrodę ubezwładniono, spętano w jej dzikich porywach i uzależniono od woli człowieka. Pod wpływem takich stosunków i wogóle całej atmosfery miejskiej istota ludzka zapomina o wszystkiem, co nie jest natychmiastowem użyciem i z niem nie wiąże się w taki lub inny sposób. Sceptycyzm, nieświadomie wyrosły, nie sformułowany nawet jasno, ogarnia całe jego jestestwo, dążnościom życia, przejawiającym się z godziny na godzinę, przeciwdziała jedynie idea, pozostała z przeszłości, która każe wierzyć w pewien dogmat i spełniać odpowiednie praktyki. Tylko wtedy, kiedy przyjdzie nieszczęście, na które nie ma lekarstwa, kiedy nieuleczalna choroba powali człowieka, wtedy ten i ów otrząsa się z niewiary. Zupełnie inaczej dzieje się w duszy włościanina — mówię naturalnie o wieśniaku, który gospodaruje według wzorów praojcowskich i w starodawnem otoczeniu. Żyje on w nieustającej trwodze, postawiony bezpośrednio przed obliczem nieujarzmionych sił kapryśnicy przyrody. W jego trybie życia, co więcej, w całem otoczeniu nie ma takich pierwiastków, któreby go natchnęły śmiałością i dały tę niezachwianą pewność siebie, jaką odznacza się mieszkaniec miasta. Posucha może zniszczyć wszystkie nadzieje zbiorów, burza od jednego razu stłucze plony, piorun zaś z dymem puści cały dobytek, z takim mozołem nagromadzony, długotrwałe roztopy zaszkodzą zasiewom. Albo przyjdzie pomór na bydło i gospodarz będzie do szczętu zubożony. I wszystkie epidemie, i kaprysy przyrody swawolą w życiu bezkarnie, jak śnieżna zamieć na pustym stepie. Spogląda on na to wszystko bezwładnie, w najzupełniejszem poczuciu swojej niemocy: kiedy pożar w palących uściskach obejmie wioskę i będzie ją zamieniał na zgliszcza, nie ma tam na wsi żadnej zorganizowanej pomocy; żadne środki zapobiegawcze nie będą zwalczały zarazy, gdy padnie na ludzi. Przyroda wciąż zagraża jakimś wybrykiem, przeciwko któremu bronić się nawet na myśl nie przyjdzie wieśniakowi. Poczucie tej niemocy nigdy nie opuszcza go, obawa ciągle tkwi w jego duszy. Dotknięty powiewem sceptycyzmu mieszkaniec wielkiego miasta, wydobywa z siebie jęk bezsilności dopiero wobec nadciągającej śmierci; przeciwnie, spazm niemocy, w stanie ukrytym, istnieje bez ustanku w duszy wieśniaczej. Prowadząc swoje studya etnograficzne, bywam niekiedy wprost zdumiony niezmierną siłą tego szlochania, jakie wydobywa się podczas ekstazy religijnej z piersi rolnika, tą rozpaczą i niemocą, które rozbrzmiewają w psalmach barbarzyńców. Są chwile, kiedy jako robactwo czołgają się oni, myśląc o popełnionym grzechu i odpowiedzialności, która spadnie w postaci huraganów lub posuchy, głodów i moru. Ażeby pola wydały plon, oczyszczają siebie pokutą i spowiadają się, u niektórych plemion przychodzi rok rocznie stały odkupiciel za grzechy, „boży człowiek“. Idzie on na dni kilkanaście na pustynię pocić się w modlitwie, i pościć i pokutować, w plemieniu gaszą wszystkie ognie na kominach, nie jedzą nic gorącego. Płacz, szlochanie i „zgrzytanie zębów“ unosi się nad krajem. Aż wreszcie pokutnik plemienny wraca wycieńczony i straszne dnie skruchy i sądu ustają. Lud oczekuje wtedy żniw, pracuje w pocie czoła, usiłuje swojem postępowaniem nie ściągnąć na siebie gniewu nieba. Dopiero kiedy plony już w śpichrzach i człowiek został do przyszłych zbiorów wolny od troski o urodzaj, wtedy nastają dnie szalone — „grzechu“, „rozpusty“, po których przychodzi w odpowiedniej porze upamiętanie. Taką jest psychika religijna poganina-barbarzyńcy: niemoc wobec sił przyrody stanowi w niej akord głośny. Taką pozostaje ona u wszystkich rolników, pracujących według wzorów staroczesnych i pradziadowskiej zależności od kaprysów przyrody, Przy każdej więc okazyi, kiedy bezwiedna robota mózgu wysunie na jaw i uprzytomni całą niemoc człowieka, dusza włościańska będzie jęczeć bez końca, bo tak być musi.

Ale w religijności ludu istnieje jeszcze inny akord — ekstazy gromadnej, posiadającej odmienną naturę, aniżeli gdzieindziej i występujący zwłaszcza w pewnych porach roku. Uprzytomnijmy sobie w wyobraźni zmudną pracę żniwiarzy: schylony kark od wschodu do zachodu słońca, ciężki a jednostajny wysiłek mięśni, skwar panujący w powietrzu. Człowiek rzuciłby się jak kłoda na ziemię, leżałby tam bezwładny, napawając się rozkoszą odpoczynku mięśni. Nadchodzi niedziela i tłumy zebrały się w kościołku wiejskim. Śpiewy chóralne, dźwięki organu, rozchodzący się od ołtarza

---

KAZIMIERZ (*z bólem*).
Dla czego jesteś inną od drugich?

WANDA.
Dla czego drugiej nie kochasz?

KAZIMIERZ (*gwałtownie*).
Dla czego cię spotkałem!

WANDA.
Dla czegoż się zatrzymał?

KAZIMIERZ.
Dla czego mi kłamałaś miłość! Boś ty nie kochała!

WANDA.
Dla czego nie zadowalasz się tem, co dać mogę?

KAZIMIEZ.
Dla czego zniszczyłaś moją twórczość, moje ja?

WANDA.
Dla czego się dałeś zabić?

KAZIMIERZ (*gwałtownie*).
Dla czego, widząc żem słaby, nie odepchnęłaś mnie od siebie! Chciałaś panować!

WANDA.
Dla czego nie znałam twej słabości?...

KAZIMIERZ (*wybucha*).
Dla czego! Dla czego! Co ty jak echo powtarzasz za mną pytania?

WANDA.
Dla czego pytasz o rzeczy, na które odpowiedzą mogą być tylko pytania?
(*Wchodzi Leon*).

LEON.
Nie przeszkadzam?

WANDA.
Przeciwnie, wdzięczni panu być możemy za przerwanie.

KAZIMIERZ.
Deptania po mnie.

LEON.
Pozwalasz na to?
(*Wanda obojętnie, lekko szyderczo patrzy na obu*).

LEON.
Pani milczy, zapewne nie widząc potrzeby obrony.

WANDA (*j. w.*)
Zgadłeś pan.

LEON.
To nie domyślność, lecz znajomość pani dyalektu.

WANDA (*j. w.*)
Co dobrze świadczy o twych filozoficznych zdolnościach.

LEON.
Lub o odrębności mowy pani. Rzeczywiście zdumiewające.

WANDA (*rozdrażniona*).
Zerozumiałością, prawda?

LEON.
Teraz pani odgadła.

WANDA.
To znajomość pana zwykłej, wspólnej wszystkim mowy.

LEON.
Zwykła, bzć może; lecz ma tę dobrą stronę że jest zrozumiałą.

WANDA.
Właśnie dla swej powszechności.

LEON.
Ja nie mam pogardy dla tego, co ludzkie.

WANDA.
Ja zaś kocham człowieka, lecz nienawidzę w nim pospolitości; dla tego, że go kocham. Lecz jeżeli „człowiek“ dla pana jest synonimem „pospolitości“, rzeczywiście, gardzę nim.

LEON.
Zdarza się niedy, że pospolici krytykują bogów i dostrzegają u nich swe własne błędy i plamy w powiększeniu.

WANDA (*wzdryga się*).
O czem pan chcesz mówić?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

dym kadzideł, i wreszcie odpoczynek mięśni, stanowią swego rodzaju szczególną podnietę dla ekstazy duchowej. „Przyjemność ruchu — spowiada się p. Wł. Reymont — oddychanie swobodne czystem powietrzem, zadowolenie odpoczynku pod gołem niebem, i ten sam dreszcz dziwny na widok księży, kościołów, pięknych ceremoniałów, złoceń i tak samo łzy zalewają mi oczy i spazm rozczulenia skręca mi serce, gdy usłyszę poważny głos organów, gdy mnie owionie mroczny chłód świątyń, gdy księża używają w przemowach pewnych pobudliwych wyrażeń: kara... cnota... piekło... Amen, mówią to patetycznemi głosami!“ Dodajmy do tego jeszcze odpoczynek mięśni, a otrzymamy właśnie fundament fizyologiczny ekstazy wieśniaczej. Serca rozczulają się nie pod wpływem dogmatu, trzeba jedynie wyrazów pobudliwych: cnota.. kara... piekło — nabożeństwo przestaje być rozmyślaniem o artykułach wiary i wątpię nawet, czy jest jakiemkolwiek rozmyślaniem, raczej jest to stan ukołysania i zapomnienia, podobnie działający, jak śpiew matki na niemowlę.

Religijność więc ludu wiejskiego posiada właściwą sobie fizyognomią, która wypływa z warunków bytu. Kompania, złożona z takich żywiołów, przedstawia rysy zgoła odmienne, aniżeli pątnicy, wychowani i żyjący w atmosferze wielkiego miasta — o ile będą szli oddzielnie, bo w tej samej pielgrzymce różnice zostaną zatarte pod działaniem powstającej jaźni gromadnej. Po przez duszę ludzką przemawiają tam żywioły odmienne: tryb życia, otoczenie, warunki utrzymania. Ale ogół tych stosunków, kładących takie piętno na ekstazie religijnej, zmienia się z biegiem czasu nawet w najrutyniczniejszem ustroniu, nurt duchowy, przeszywający jestestwo wewnętrzne człowieka, zwolna osadza tam w głębi inne pierwiastki i przeistacza całą naturę. Obecna doba jest właśnie chwilą zmian bardzo poważnych w warunkach bytu ludności wiejskiej: niszczy ona dawną bezsilność wobec kaprysów przyrody, którą zaprzęga w jarzmo uległości względem woli ludzkiej. Chociażby już jedno zaprowadzenie dróg, tem bardziej zaś kolei żelaznych, umożliwiających szybki a masowy dowóz żywności do okolic, zagrożonych przez nieurodzaj, musiało wywrzeć wpływy bardzo doniosłe. Stanowczo wątpię, czy dzisiejszy włościanin wobec potworów żelaznych, przerzynających znaczne przestrzenie, zdołałby wydobyć z siebie ów hymn ponury, jaki w dies irae dies illa przekazały nam wieki średnie. I każdy postęp techniczny, każde ulepszenin społeczne, ubezpieczające wieśniaka przeciwko klęsce pomoru i gradu, to nurt, odrywający cząstkę po cząstce z owych pokładów niemocy. Naturalnie, póki istnieje osada włościańska, już przez sam swój ustrój gospodarczy skazana na rutynę, dopóty pierwiastek taki będzie tam istniał, skutecznie opierając się wszystkim oddziaływaniom ze strony ideologów sceptyzymu, choć bądź co bądź zmniejszać się on będzie, bo musi. I z drugiej strony technika, dając kosiarkę zamiast kosy, żniwiarkę zamiast sierpa, usuwa znowu dawne pierwiastki fizyologiczne ekstazy i dąży do nadania jej innej postaci. A zatem objawy uczucia religijnego są naprzód niezależne od dogmatu, powtóre zaś stanowią funkcyę czasu i zmieniają się z ukształtowaniem warunków bytu.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Salony paryzkie.

Paryż, w lipcu.

Dzień pierwszego maja bywa zwykle w Paryżu nie tylko świętem robotniczem, ale zarazem świątecznym dniem sztuki. Świat artystyczny obchodzi w dniu tym uroczyste otwarcie salonu paryzkiego, t. j. powszechnej dorocznej wystawy malarstwa i rzeźby. Paryżanie nazywają to uroczystością *vernissage'u*, co ma oznaczać, że w dniu tym odbywa się ostateczne wykończenie malowideł, wystawionych na widok publiczny.

Podczas gdy robotnicy na licznych zgromadzeniach hałaśliwie domagają się ośmiogodzinnego dnia roboczego i organizują manifestacye dla stwierdzenia postępów socyalizmu, w którym widzą ekonomiczną i społeczną przyszłość Francyi: artyści, literaci, cała inteligencya paryzka spieszy na Pola Elizejskie, ażeby oglądać i podziwiać tysiące płócien i rzeźb, wystawionych w Pałacu przemysłu; chodzi tu o postępy sztuki, o najświeższy ruch artystyczny.

Sama jednakże wystawa w Pałacu Przemysłu nie daje jeszcze zupełnego obrazu tego ruchu. Znaczna część artystów, wystawia swe prace, nie należące do konkursu, w osobnym Salonie, znajdującym się na Polu Marsowem, i dopiero oba te salony razem wzięte *Le Salon du Champs de Mars* i *Le Salon des Champs-Elysées* są do pewnego stopnia miarą rocznego dorobku w dziedzinie sztuki plastycznej i dają pojęcie o najnowszych kierunkach i prądach artystycznych.

Salon właściwy — na Polach Elizejskich — jest o wiele liczniejszym i więcej urozmaiconym; ale i w salonie na Polu Marsowem, chociaż mniej licznym, znajdzie się także kilka płócien pierwszorzędnej wartości, kilka prac, uderzających świeżością i oryginalnością; a przytem ma on jeszcze jedną stronę interesującą, że nader gościnnie otworzył podwoje dla sztuki zagranicznej, widzi się więc tu współczesną twórczość francuzką w zestawieniu ze szkołami zagranicznemi, i przyznać trzeba, że malarstwo francuzkie wiele traci na tem porównaniu, pomimo płodności talentów francuzkich i gorączkowego ubiegania się o nowość.

Zacznijmy więc nasz przegląd od wystawy na Polu Marsowem i ażeby odrazu wejść in media res, spojrzyjmy na wielkie płótna dekoracyjne. Znajduje się między niemi płótno głośnego mistrza *Puvis de Chavannes'a*. Wprawdzie Max Nordau w świeżym artykule, zamieszczonym przed kilku dniami w feletonie wiedeńskiej „Neue Presse“ odmawia mu oryginalnego talentu i utrzymuje, że jest on tylko lichym naśladowcą Kornelius'a: ale ogół publiczności zachwyca się płótnami Puvis de Chavannes'a, i bądź cobądź mistrz ten potężnie przemawia do wyobraźni współczesnych i posiada niezaprzeczenie jakiś niezwykły urok poetyczny, tak dobrze trafiający do duszy współczesnego widza.

Przyjrzyjmy się bliżej jego „Muzom natchnienia, witającym Geniusza światła.“ Artysta, który dotychczas siły swe poświęcał wyłącznie Francyi, pierwszy raz przyjął zamówienie na większe dzieło, przeznaczone dla zagranicy, mianowicie dla ozdoby portyku biblioteki publicznej w Bostonie. Chodziło o pokrycie muru szerokości dwunastu a wysokości dziesięciu metrów. W dolnej części muru znajdują się drzwi, górna jest przecięta siedmioma kobłąkami, spadającemi ze sklepienia. Puvis de Chavannes wydobył z tego rozkładu efekta niezrównanie czarodziejskie.

Na brzegu Oceanu, którego głęboki błękit jest ograniczony niebem, idealnie łagodnem, w swych zmierzchach opalonem, upstrzonem lekkiemi biało-żółtawemi obłokami, o rozgrzanem plamami gasnącego złota, — dziewięć Muz zabiera się do lotu z zaokrąglonego szczytu skały. Zobaczyły one Geniusza, bujającego na wozie z chmur pośród eteru, młodzieńca nagiego o dumnych rysach, z rozwiniętemi skrzydłami, który swemi rozpostartemi rękoma rozrzuca snopy światła, — i w nierównych grupach dążą ku niemu te dawczynie natchnień. Jedne dotykają jeszcze stopami ziemi, pełnej zieloności, nastroszonej tu i owdzie szczepkami dębów i obwiedzionej na wyniosłościach przezroczystemi rzędami drzew laurowych. Inne wzbiły się w powietrze i unoszą się w błękitach, niby białe motyle.

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

Pauli wrócił się i wszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie zajął miejsce przy okrągłym stole. Po chwili Bergström zajrzał ostrożnie i zobaczył go przy stole zajętego... dłubaniem w zębach.

— Małe zwierzę! — pomyślał Bergström gniewnie — z jak poważną miną tu siedzi, a jak stroskany ma wygląd, zdawałoby się, że bóle świata całego odczuwa! Usłyszał teraz jak czegoś zażądał, a irytował go ton jego pełen skargi, sentymentalny prawie, tak dobrze mu zdawna znany! Jak on udaje! Człowiek, który nigdy nie miał zmartwienia, któreby głębiej odczuł!...

Powoli zamieniał się gniewny nastrój Bergströma w złość cichą, krew uderzyła mu do głowy na wspomnienie tego, co zawdzięczał temu człowiekowi! Tak, bo tylko on, nikt inny, tak wszystkiem pokierował! Przez złośliwość swą... z obawy przed Nörgaardem... a może z nienawiści do córki swej to uczynił?!... Co to za łotr! — pomyślał — oto wydaje ją za tak ohydne indywiduum i ręce zaciera z radości do tego!... Bo jakiż on, mimo swego wyglądu, mimo głębokich na czole zmarszczek, zadowolony! Życie dwojga ludzi bez skrupułów spaczył, a zupełnie mimo to spokojny. Jego to tylko wyprowadzić może z równowagi, gdy pisząc dzieło znaleść nie może lśniącego dowcipu... Miły człowiek!

Bergström siedział jak w ogniu, niecierpliwie targając swe włosy. Wypróżnił kieliszek, poczem wstał.

— Muszę mu jeszcze za wyświadczoną mi przysługę podziękować — rzekł do siebie.

Z rękami w kieszeniach, zbliżył się leniwym krokiem do stołu doktora.

— Żebym tylko mógł panować nad sobą! — pomyślał — trochę wspaniałomyślności i spokoju!...

Przystanął i niedbale głową skinął.

Pauli spojrzał; w pierwszej chwili zmieszał się i brwi ściągnął, zaraz jednak uśmiechnął się łaskawie i spytał tonem serdecznym, choć zdziwionym:

— Ach, to ty? zmartwychwstałeś?... No, cóż porabiasz?

— Dziękuję, — a Pan? — odrzekł Bergström, kładąc nacisk na ostatni wyraz.

Pauli podniósł na niego oczy.

— A więc mamy do siebie odtąd mówić „Pan“ — rzekł uśmiechając się — dobrze, wszystko mi jedno... ale czem mogę panu służyć? pozwoli pan wina może?...

— Dziękuję, proszę nie trudzić się dla mnie!

— Sądziłem, że gościa należy czemś poczęstować... a...

Nie dokończył swej myśli; nastała dłuższa pauza. Bergström usiadł naprzeciw na krześle; kołysząc się z lekka, patrzał drwiąco na swego sąsiada.

— Czy mogę panu powinszować? — rzekł w końcu.

— Czego?

— Zaręczyn córki pańskiej, rozumie się...

— Zerwania ich, chciał pan chyba powiedzieć? dziękuję...

Bergström stanął w płomieniach i gniewnie przygryzł wargi.

— Nie tego! — rzekł po chwili, siląc się na spokój — sądziłem jednak, że byłeś pan tak dalece zadowolonym z pozbycia się mojej osoby niebezpiecznej z swego otoczenia, że czemprędzej postarałeś się o zastępcę... tem bardziej, że ideał odpowiedni zaraz był pod ręką... pan Nörgaard nadaje się najlepiej do wypędzania złego wodą święconą...

— Zawsze to utrzymywałem — odparł obojętnie Pauli — że we wszystkiem swój czas wyprzedzasz.

— A więc to jeszcze nie nastąpiło?

Widać, jak się kołyszą miękko, udrapowane harmonijnie w dziewicze białe szaty i wyciągają ku Geniuszowi swe liry i podają mu wieńce. Inne jeszcze brząkają na cytrach. Ostatnia z nich zdaje się być zbudzoną z długiego snu; ma oczy jeszcze przymknięte i biernie, nieświadomie ulega, porwana tajemniczem tchnieniem, które ją unosi ku Geniuszowi, i ruchem nieskończenie wdzięcznym z powodu swej naturalności, rozszerza ramiona, odsuwając nieznacznie ze swej twarzy powiewne fałdy swej długiej zasłony.

W pośrodku pagórka, nad którym unoszą się muzy, wypadają właśnie drzwi. Z każdej strony tych drzwi, które przywołują wyobraźnią do rzeczywistości, gdyż mają być jedynem wejściem do wielkiej sali, do której Bostończycy będą wchodzili na lekturę, artysta przedstawił dwie duże siedzące postacie kobiet w szarym kolorycie. Jedna zatopiona w myślach — to skupienie ducha — opiera na ręce myślące czoło; druga, zajęta czytaniem księgi, którą trzyma otwartą na kolanach — to Nauka. Obydwie te postacie traktowane są w wielkim stylu, i nacechowane szlachetnym spokojem, co jest w wysokim stopniu imponujące. Mają zaś tę nieocenioną zaletę, że stanowią doskonałe, a zarazem bardzo proste przejście między rzeczywistością, jaką przedstawiają drzwi, a fantazyą, ku której wznosi nas artysta... Całość, pomimo zmanierowanego cokolwiek Chavannes'owskiego stylu, sprawia wrażenie w wysokim stopniu harmonijne i budzi głębokie wzruszenie poetyckie, graniczące z marzeniem.

Sposób zaś wykonania tego alegorycznego pomysłu przedstawia typowe cechy wielkich płócien dekoracyjnych i wykazuje jasno, że zwykły obraz i to, co Francuzi nazywają *la peinture morale* to dwie rzeczy różne. Różnicę te najlepiej można ocenić przez porównanie płótna Puvis de Chavannes'a z trzema innemi płótnami, przeznaczonemi do ozdoby gmachów publicznych, a wystawionemi w tym samym salonie. Są to „Szczęśliwe dni" *Friant'a* przeznaczone do sali ratuszowej w Nancy, „Poranek w Halach centralnych" *Lhermitte'a* i „Rozkosze życia" Roll'a, które mają zdobić ratusz paryzki. Wszyscy ci trzej artyści mają zasłużoną renomę i płótna ich, jak zobaczymy, nie pozbawione są wybitnych, nawet pierwszorzędnych zalet — ale nie są wytrzymane w całości w szerokim stylu dekoracyjnym. Odsuńmy się od nich na kilkanaście kroków, — i oto zaczynamy widzieć tylko plany, i to wcale nieprzyjemne dla oka. Szczegóły, które zachwycają nas zblizka, na pewnej odległości stają się zbyteczne i traci się jednolite wrażenie całości, a w oko wpadają tylko osobne części obrazu. Uogólnione zaś postacie Puvis de Chavannes'a, z odległości nabierają jeszcze więcej wyrazistości, perspektywa się rozszerza i oko z zadowoleniem obejmuje harmonijną całość.

Friant, Roll i Lhermitte — to realiści współczesnego malarstwa francuzkiego, czerpiący natchnienie w otaczającej ich rzeczywistości i posiadający wierny zmysł odtworzania jej kształtów zewnętrznych; znajdują w niej dosyć materyału malowniczego i cokolwiek poezyi...

Płótno Lhermitte'a, przedstawiające słynne „Hale paryzkie", czyli główną targownicę miejską, mogłaby uchodzić za ilustracyę do znanej powieści Zoli „*Ventre de Paris.*"

Jest to rzeczywistość, pochwycona na gorącym uczynku — to mrowie przekupniów, kwiaciarek, tragarzy i gapiów; te masy marchwi, rzepy, kapusty, dyń, tylekroć opiewane przez poetów z Chat-Noir. Są tam wszystkie typy, wszystkie okazy tego rynku. Malarz umieścił tam i siebie: stoi na uboczu i sympatycznem spojrzeniem ogarnia to ciekawe widowisko. Płótno ze wszech miar zasługuje na uznanie — tyle w niem barw, natury i prawdy.

Friant należy także do najzdolniejszych realistów we współczesnem malarstwie francuskiem i maluje bardzo ładne obrazki rodzajowe i idylle współczesne, zadziwiające staranniem i wiernem odtworzeniem szczegółów; ale niestety metoda i faktura jego zawodzi go w wielkich płótnach. Młoda matka z dzieckiem przy piersi, dwoje robotników na trawie i stara kobieta, wyciągająca zieloną gałązkę do dziecka, dobry to temat do obrazu rodzajowego, ale nie ma w niem materyału na wielkie płótno dekoracyjne, jakiem ma być jego obraz, zatytułowany: „*Jours heureux*".

Roll wreszcie w swym obrazie „*Joies de la vie*" przedstawia kobiety, kwiaty i muzykę: temat, wymagający wdzięku i lekkości *a la Watteau*, czego nie ma wcale w malowidle Rolla. W gaju pod Paryżem, w jasnych promieniach słońca, odbywa się bachanalia wyuzdana, do której przygrywa trzech muzykantów w czarnych surdutach. Nagie, dosyć niezgrabne kobiety wygrzewają się w słońcu na trawie; inne opasują ramieniem kochanków. Miał to być zmodernizowany Rubens, odświeżony *plein-air'em*, jak się wyraża pewien krytyk; lecz próba nie udała się i zamiast monumentalnego jakiegoś „Święta Venery" mamy przed sobą zwykły... *Moulin Rouge.*

Z innych obrazów możemy tu wspomnieć jedynie o najwybitniejszych, o tych, które albo przedstawiają typowe cechy szkoły, albo też zdradzają potężną indywidualność autora i oryginalną pomysłowość. Przedewszystkiem zaś zwracamy uwagę na *Besnarda.* Stanowi on wybitny kontrast z Puvis de Chavannes'em, bo podczas gdy płótna Puvisa odznaczają się melancholią barw, wyuzdany jaskrawy koloryt cechuje Besnarda. Barwy szmaragdów, topazów i szafirów mienią się na jego płótnach; koloryt ten działa magicznie, ale często bywa sztucznym, niezgodnym z prawdą przyrody. Świetny rysunek i pomysłowa kompozycya dopełniają całości. Niedawno podziwiano jego utwory w salonie pasteli. Teraz odświeża w pamięci widzów dwoma nowemi obrazami algierskiemi, silne wrażenie wspaniałych tonów i jasnych, ożywionych harmonii. Kto lubi konie, dozna prawdziwej niespodzianki, patrząc na jego „Jarmark koński pod Algierem". Zobaczy tu rasowe konie arabskie w ruchu i podczas spoczynku, ich dreszcze skóry, ich niecierpliwe grzebanie nogami, zdradzające ich ogień i gorącą krew. A wszystko to oddane bez wysiłku, jakby przypadkiem, z wytworną lekkością pędzla. Układ i rysunek bez zarzutu, koloryt świetny, zanadto świetny: ta wspaniała gra tonów lila, fioletu i topiącej się miedzi pieści i rozwesela oko, ale musi się wydać przesadną na skórze nawet rasowych koni arabskich. Czarodziejski ten koloryt o wiele naturalniejszym jest w drugim obrazie tego samego malarza, przedstawiającym „Widok portu algierskiego" o zachodzie słońca.

Besnard tworzy oczywiście szkołę. Ma mnóstwo naśladowców, niewielu jednakże szczęśliwych. Ostrzeżeniem powinny być dla nich obrazy *La Touch'a*, który zapożyczył od Besnarda wyuzdany koloryt, ale niestety, płótno jego cechuje wzgardliwa niedbałość o rysunek i wszelki brak plastyki. Widać to w jego „Apoteozie Watteau" i „Czterech porach roku".

Carrière wystawił w tym roku wielkie płótno, przedstawiające „Wnętrze teatru Belleville" podczas przedstawienia popularnego. Poważny ten malarz znany jest jako znakomity kolorysta i doskonały obserwator. Jest on malarzem uczuć i wzruszeń, które oddaje nie za pomocą oderwanych symbolów, lecz za pomocą trafnie charakteryzowanych szczegółów mimicznych, ruchów i gestów, składających nastrój wewnętrzny. Ma on jednę osobliwość, którą uważano za dziwactwo, ale która zdaje się być wynikiem optycznej właściwości malarza. Carrière widzi powietrze i maluje je w postaci subtelnych obłoczków białoniebieskawego dymu, otaczającego wszystkie postacie i przedmioty na jego obrazach; nie razi to bynajmniej, ale owszem, nadaje jego malowidłom pewien mistyczny urok. W obecnie wystawionym obrazie Carrière przedstawia syntentycznie wzruszenie niewybrednej publiczności przedmieścia podczas jakiejś przejmującej sceny w teatrze. Widzimy

---

— Nie! — rzekł Pauli, potrząsając głową. Wziął gazetę do ręki i z udanem zajęciem czytać począł.

— Z bozką pomocą i to przyjdzie — ciągnął dalej Bergström — mogę panu w każdym razie zmiany poglądów powinszować; po długiem badaniu dopiero teraz dotarł pan do prawdy, teraz dopiero dawniejsze poznajesz błędy. I to dzięki Nörgaardowi, nowemu prorokowi, którym pogardzałeś przedtem. Czyż nie mam słuszności? wszak przychodzi on teraz do państwa?

— Tak, przychodzi — odparł Pauli grzecznie, wzroku nie odwracając od gazety.

— Domyślałem się — rzekł Bergström, coraz więcej wzburzony — podniosły zaprawdę widok: dr. Pauli u nóg misyonarza ludowego, w twarz jego, od Boga natchnioną, wpatrzony, wsłuchany w każde słowo z ust jego wychodzące! A z nowej tej konstelacyi gwiazd na polu nauki, jak bogate żniwo duńskiej umiejętności przypadnie w udziale! Pan poucza go o Spinozie, on zaś błędy pańskie w znakach pisarskich poprawia, przy takiej wspólnej wymianie usług jak znakomite dzieła ukazać się mogą! tak pod względem przejrzystości i jasności ducha, jak i interpunkcyi!... Z całego serca winszuję!

— Bardzo możebne! — odparł tym samym spokojnym głosem Pauli.

— Co mnie jednak, prawdę powiedziawszy, najwięcej dziwi — zaczął znowu Bergström — to owa swoboda, z jaką pan członków rodziny swej, że tak powiem, zamienia. Do licha! trzeba przecież niezwykłego sumienia, ażeby tak s a n s f a ç o n przybrać nowego zięcia a dawnego odrzucić, jak kucharkę... Z zupełnie przedmiotowego stanowiska sądząc, czy ma pan pewność, że... że Engelke... przerwał, czując, że wargi mu drżą przy wymawianiu jej imienia, że Engelke równie ze zmiany tej zadowolona? Lecz to zapewnie mało pana obchodzi — ciągnął dalej, widząc że Pauli nic nie odpowiada... Nie wiem, po co pan tę gazetę przed sobą trzyma, czy żeby mnie drażnić?

— Bynajmniej — odrzekł Pauli, odkładając gazetę; przymuszony uśmiech zniknął nagle z jego twarzy, ściągnął brwi i tonem lekkiej skargi zaczął:

— Drogi Bergström, oto całą złość swą na mnie wywarłeś, nie oszczędzałeś mnie pan bynajmniej, chociaż jestem starcem a pan człowiekiem młodym, ale mniejsza o to, nie umrę z tego zapewnie; w życiu mem już gorsze przechodziłem chwile. A zresztą mógłbym był wstać i odejść, sądziłem jednak, że lepiej będzie, jeśli do wyjaśnienia jakiegoś między nami przyjdzie, dla tego pozwoliłem panu mówić. Niewyjaśnione stosunki bywają źródłem plotek, nieporozumień — a wie pan dobrze, jak chętnie chciałbym tego uniknąć. — A więc cóż właściwie chciałbyś wiedzieć? Przypuszcza pan, że córka moja zaręczoną jest z Nörgaardem? Otóż, zapewniam pana, że z nim zaręczoną nie jest.

— Ale to zapewnie niedługo nastąpi? — spytał Bergström, nagłym ruchem przechylając się ku mówiącemu.

Pauli spojrzał nań z uśmiechem.

— Czy to nastąpi? — powtórzył — może być. Chciałbym zupełnie być z panem szczerym, — otóż przyznam się, że nie uważam tego za niemożebne.

I może pan z całym spokojem o tem mówić?

Pauli wzruszył ramionami.

— Czy wie pan, co to za człowiek?

— Mój drogi, nie bądźmy sentymentalni! — rzekł doktór, podnosząc rękę — znam stosunki Nörgaarda tak dobrze zapewnie jak ty!

— I mimo to?

Po ustach doktora przewinął się uśmiech ironiczny.

— Mój kochany, miałem cię zawsze za człowieka dość rozsądnego, lecz nierozumnie to z twej strony — przepraszam, ze strony pana, zapomniałem, że mówimy sobie „pan" — że chcesz tu mówić o moralności Nörgaarda. Alež, na miłość boską nie mów pan o tem. Wiem, co zamierzasz teraz powiedzieć, i muszę pana uprzedzić, że Nörgaard, jak wiesz zresztą — nie jest mi szczególnie sympatycznym. Jest dla mnie trochę trywialnym: to proklamowanie moralności po ulicach jest niesmaczne, — zwłasz-

na płótnie tylko część sali teatralnej: balkon i galeryę; sceny nie widać wcale. Cała sala zresztą pogrążona jest w półcieniu, w którym widz zaledwie rozróżnia kształty i gesta; gdzieniegdzie zaś twarze, miejscami brutalnie wydobyte nad światło, częścią zaś w zupełnej pogrążone ciemności.

Carrière jest mistrzem w odtwarzaniu efektów tego rodzaju oświetlenia. Zresztą główny plan obrazu kreślony jest pewną ręką, tak iż charakter całej sceny oddany z dostateczną wyrazistością, pomimo niezmiernych trudności, jakie nastręczały warunki oświetlenia. Jakiś mężczyzna siedzący skurczył prawą rękę wsuniętą pod lewe ramię i wytęża wzrok; za nim kobieta konwulsyjnie składa obie ręce; inni w tłoku opierają się o filary; inni ściskają je kurczowo. I w całym szeregu tych trafnych obserwacyi jest stopniowanie prawdziwie dramatyczne i bardzo zajmujące. Wszystko zresztą zdradza, że cała ta publiczność zatopiona jest w scenie, której się przypatruje i zapomniawszy na chwilę o zwykłych swych troskach, o nędzy życia, które ją przygniata, nieświadomie oddaje się sztucznie wywołanym wzruszeniom; rzeczywistość zamienia się w złudzenie. Dziwny to obraz, nie mający nic wspólnego z szablonową techniką malarską i dla tego pozostawiający dosyć materyału do krytyki, ale zarazem jakąś głębszą filozofią tchnący. Nordau powiada, że Carrière namalował głęboką naukę Buddy o Maji — i Nirwanie: szkoda tylko, że otoczył ją tak gęstą mgłą, że nawet oko wtajemniczonego nie zupełnie ją przenika.

W liczbie mniejszych płócień, nacechowanych indywidualnością i osobistym temperamentem artystycznym, wymienimy przedewszystkiem „Sen“ *Collota*. Artysta ten z wielkiem upodobaniem i talentem maluje ciała. Wytworny rysunek nie ma w sobie nic pedantycznego: sposób malowania jędrny, a zarazem subtelny. Po mistrzowsku oddaje kontrast ciała białego, przypominającego perłową macicę i ciał śniadych o gorących tonach. Stara się być dokładnym i ścisłym, a równocześnie poetycznym. W odtwarzaniu nagości kobiecych jest zmysłowym i jak nikt inny, oddaje pociągającą świeżość i powab nagiego ciała, ale nie posuwa się nigdy do rozpusty i przewrotności; jego zmysłowość jest męzka i szczera. Wszystkie te cechy doskonale uwydatniają się w jedynym wystawionym obecnie obrazie Collota. Na zielonej darni leżą miękko, śpiące jedna obok drugiej, dwie kobiety o ciałach lekkich i eterycznych. Lica śpiących dotykają się wzajemnie, oddech się miesza: jedna o płci białej, druga o karnacyi śniadej. Są to cuda wdzięku w różowych tonach ich lic, w modelowaniu ramion i w tych błękitnych żyłkach ledwie dostrzegalnych pod skórą, zwłaszcza na piersiach dziewczyny o płci białej.

Zupełnie odrębny ma charakter oryginalny obraz *Azy-Renana* p. t. „Ćma“ (*Phalène*), — obraz bolesny, pociągający i pełen takiego napięcia myśli, jakie malarstwo rzadko kiedy zdolnem jest znieść, nie narażając malarza na przykry zawód. Przygoda ćmy nocnej, która zbudzona światłem lampy ze snu, tłucze się o szybę, jest rzeczą banalną, znaną wszystkim. Azy-Renan w dramatyczny i oryginalny sposób zastosował ją do życia ludzkiego. Jego ćma jest kobietą wychudłą i zasmuconą: zbudzona tą olśniewającą wesołością, jaką młodość roztacza dokoła, z martwoty, w którą pogrążyły ją smutki życiowe, ona tak jak owa ćma nocna, rzuca się do szyby i widzi w niej, jak w zwierciedle, swą własną postać, — i cofa się przerażona widmem, które ujrzała. Alegorya jest nowa i będzie się podobała. Artyści cenią nadewszystko technikę obrazu; ogół publiczności ocenił, że całość odznacza się zupełną pięknością, jaką Azy-Renan osiągnął po raz pierwszy.

Od tego psychologicznego nerwowego obrazu, jakże wielki przeskok do czysto malowniczych, harmonią tchnących obrazów *Lucyana Simona!* Jest to również jeden z młodych, który na tegorocznej wystawie silnie zaznaczył swą indywidualność. I każdy prawie ze zwiedzających wystawę zwraca uwagę na jego wielkie płótno, nazwane „Muzyką“, które istotnie przedstawia potężną a subtelną symfonię barw. W parku nad brzegiem wody siedząc na zielonej kozetce w stylu Ludwika XIV, młoda kobieta w bladoróżowej sukni gra na skrzypcach, zatopiona w swej grze: obok niej na ławce, leżą róże herbaciane. Vis-a-vis siedzi na krześle zamyślony mężczyzna i słucha. Nieopodal oparty o drzewo młodzieniec o marzących oczach, słucha także. Scenę oświetla szare światło chylącego się ku schyłkowi dnia. Mnogość barw zlewa się w jedną piękną i poważną symfonię, w której przeważają tony zielone i niebieskie, doskonale harmonizujące ze smętnym kolorytem nieba, wody i obłoków.

W zakresie *portretu, pejzażu i obrazów rodzajowych* francuska część wystawy nie przedstawia nic szczególnie wybitnego. Działy te mają za to znakomitych przedstawicieli pośród malarzy szkół obcych. Wogóle obce szkoły w salonie na polu Marsowem robią w tym roku wielką konkurencyą Francuzom; prawie powiedzieć można, że zawstydzają francuskie malarstwo.

Ażeby dać ogólne pojęcie o malarstwie zagranicznem, o ile reprezentowanem jest w tym Salonie, rozróżniamy przedewszystkiem trzy główne kierunki: *angielski, amerykański i flamandzki.*

Malarstwo angielskie można podzielić jeszcze na dwie szkoły: szkołę *Burne-Jones'a* i szkocką. Pierwsza przedstawia szczątki niedawno jeszcze tak modnego prerafaelizmu; ma kierunek poważny i więcej od innych szkół dba o stronę etyczną. Podobnie jak Puvis-de-Chavannes naśladuje stare średniowieczne freski z ich poetycznym, przyćmionym i wyblakłym kolorytem, tak Burne-Jores naśladuje malarzy XV wieku, mianowicie rysunek twarzy Botticelli'ego i przyżółkłe od starości, szarawe tony ciała, jakie widzimy dzisiaj na obrazach Lionarda, co pewnemu recenzentowi nasunęło złośliwą uwagę, z postaci jego obrazów wyglądają tak, jakby długo leżały w grobie i świeżo je z trumien wydobyto. Pomimo tego zmanierowanego stylu, niepozbawionego zresztą szlachetności; Burne-Jores nie przestaje być pierwszorzędnym artystą. Znać to w tegorocznym jego obrazie alegorycznym p. t. „Miłość w ruinach“, w którym przedstawia dwoje młodych ludzi, siedzących obok siebie na ławce pośród marmurowych szczątków jakiejś ruiny, oboje mają wydatne bródki, wązkie wzgardliwe wargi i dumne czoła według wzorów Botticellego. Ogólny to obraz, głębiej obmyślona kompozycya, rysunek i mnóstwo szczegółów zdradza prawdziwego mistrza.

Do tej samej szkoły zalicza się poniekąd *Welden-Hawkins*, stale mieszkający w Paryżu, artysta o niepospolitym oryginalnym talencie, ale pozostający stanowczo pod wpływem maniery Burne-Jores'a. Zajmuje on w nowożytnem malarstwie takie same stanowisko, jakie symboliści zajmują we współczesnej literaturze. Maluje symbole, które tłumaczą jego przyjaciele z „*Revue-Blanche*“, a estetyka jego zbliża się do parodoksalnej estetyki Oskara Wilde, będącej skrajną reakcyą przeciwko naturalizmowi w sztuce. Złośliwie impertynencki Nordau powiada o nim, że dotknięty jest szczególniejszym rodzajem daltonizmu, wszystkie bowiem barwy przedstawiają mu się w szarożółtych i złoto-brunatnych tonach.

Powszechną uwagę zwraca jego symboliczny obraz, przedstawiający młodą kobietę o pysznym obnażonym torsie, pożądliwie i szatańsko uśmiechniętą; lewe ramię ślicznie utoczone, przykrywa pierś, a prawą ręką potrząsa maryonetki zawieszone na nitce; ramę tworzą węże, wypełzające z ust demonicznej maski kobiecej. Jako motto podpisany jest u dołu śliczny wiersz Baudelaire'a:

„Que tu viennes du ciel ou de l'enfer, qu'importe, O Beauté! Monstre énorme, effrayant, ingénu,

---

...cza, że towar ten, jak u nas, niezupełnie świeży. Zapewniam pana jednak, że to u niego minie, znudzi go prędzej czy później: to tylko młodzieńczy przemijający zapał, chęć błyszczenia przed światem i pokazania mu własnego, samodzielnie wywalczonego stanowiska — jak to się zwykło nazywać. Ale to przeminie. Pan także zna ten zapał zapewnie, ja także go przechodziłem, wszyscy nim jakiś czas przejęci jesteśmy, a potem się uspakajamy... A Nörgaard z dobrego jest materyału, z trwałego raczej; należy on do ludzi, którym w życiu dobrze się wiedzie: ma energią i jest gruboskórny. Ma on w sobie coś z hebla grubo strugającego, w niczem zaś nie przypomina delikatnego pilnika... Lecz w naszych czasach więcej przydatnym jest hebel właśnie — pilnik należy do przeszłości...

— Wyobrażam sobie — rzekł na to Bergström — że Engelke niezmiernie z tego zadowoloną być musi, że jej przyszły mąż tak panu przypadł do gustu... hebel, to coś zupełnie dla niej stósownego.

Pauli gniewnie brwi ściągnął.

— Ależ musi pan wiedzieć, że Engelke sama go wezwała, nikt inny!

— Co... ona?

— Tak, posłuchaj pan: po ostatniej sprzeczce, jaką mieliście ze sobą w mieszkaniu pańskiem, Engelke, przyszedłszy do domu, natychmiast napisała do Nörgaarda list z zapytaniem, czy nie zechciałby przyjść do niej.

Bergström osłupiałym wzrokiem spojrzał na mówiącego.

— Ależ, to niemożebne! nie wierzę temu — rzekł po chwili.

Pauli śmiał się.

— A zawdzięczasz pan to sobie samemu i tylko sobie — rzekł. — Nie wiem, rozumie się, co tam między wami zajść mogło — ona nigdy nie zwierza się przedemną — widocznie jednak nie czuła się tem zbudowaną, skoro tak postąpiła następnie.

Nastało dłuższe milczenie. Pauli spoglądając na swego sąsiada, ukradkiem się uśmiechał.

Bergström siedział milczący, ponury, a fala myśli przepływała mu przez głowę, przynosząc zapytania i refleksye coraz nowe...

— Czyż możebne, ażeby wysłanie listu do Nörgaarda bez pańskiego obeszło się udziału? — rzekł w końcu.

Pauli z oburzeniem spojrzał na mówiącego.

— Czyś pan zmysły postradał? ja miałbym... ów list wysyłać? nie! jesteś w błędzie!... w grubym błędzie....

Dla czegożby nie?

Pauli ruch gniewny ręką uczynił.

— To najmniejszego nie ma sensu! — ja, który list ten za największe pod słońcem uważam szaleństwo! Wie pan, co list zawierał?

— Nie wiem!

— Napisała do niego, że to ona wówczas informowała pastora w Söllerup! do wszystkiego jednem słowem, do wszystkiego się przyznała!

— Czy być może!

— Doniosła mu, że czuje się główną winowajczynią w całym skandalu ztąd wynikłym, że tylko z jej winy nie został on posłem do parlamentu itd. itd. Cóż pan na to?

Bergström pogardliwie spojrzał na mówiącego.

— Cóż dalej? — spytał.

— No, po wszystkiem tem, rozumie się, że Nörgaard przyszedł w kilka dni po otrzymaniu listu.

Zamilkł. Kilka razy przetarł twarz ręką dla ukrycia uśmiechu, lecz mu się nie udało; śmiejąc się rzekł potem do Bergströma tonem nieco poufałym:

— Szkoda, że nie mogłeś pan widzieć go w tej chwili, gdy do nas pierwszy raz przyszedł: sztywny, surowy, pełen godności, z miną męczennika niesłusznie prześladowanego wyglądał arcykomicznie! Twarz jego przypominała owe niezręczne rysunki przez uczniów bezmyślnie kreślone, wie pan? Z niedającą opisać się uroczystością wywodzić począł swoje jeremiady, że pewna bliska mi osoba, rzuciła na niego potwarz niegodną, oczerniła go niesłusznie itd. itd. Przypadek chciał, że właśnie niedawno przedtem otrzymałem dokładne informacye o jego stosunkach, może więc pan wyobrazić sobie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Si ton oeuil, ton souris, ton pied m'ouvrent la porte D'un infini que j'aime et n'ai jamais connu".

Nie mniejszą sensacyę zrobił portret pani Séverine, znanej publicystki o rewolucyjnych dążnościach, którą Harkins przedstawił bardzo pochlebnie na złotem tle, z wyrazem ekstazy w twarzy. Jako obraz-płótno niepospolite; jako portret-przesadne i wymuszone.

Z francuskich malarzy, zbliżających się do prerafaelizmu angielskiego należy wymienić *Aman-Jean'a*, wytwornego i subtelnego artystę o melancholijnym nastroju. Wdzięk poetyczny cokolwiek chorobliwy, cechujący jego obrazy, czyni jego artystyczną indywidualność bardzo interesującą. Nazwano go malarzem opadających liści, zmierzchów i pociemniałych gobelinów. W nowszych pracach osięgnął więcej siły i plastyki, co wyszło mu na dobre. Jako portrecista dowiódł zresztą w dawniejszych już portretach Juliusza Care, Verlaine'a i innych, że umie odczuwać współczesne fizyognomie. W każdym razie należy go zaliczyć do liczby niewielu wybitnych i oryginalnych portrecistów francuskich. Dowodem tego i w tym roku wystawione dwa jego portrety: mężczyzny i kobiety.

Zdrowy, silny prąd ożywia szkołę *szkocką;* dba ona jedynie o prawdę życiową i szuka wielkich naturalnych efektów kolorytu, i to nie bezpowodzenia; odznacza się szczególnie w zakresie portretu i pejzażu. W pierwszym celuje *Guthrie*, który wystawił dwa znakomite portrety; w drugim — Camerou, posiadający jako pejzażysta — mistrzowskie zacięcie.

Ze szkół *flamandzkich* Belgijczycy mają znakomitych pejzażystów, pomiędzy którymi odznacza się *Frantz Courtens*, przypominający w swych przerzedzonych lasach, polankach, zaroślach — szalone uniesienia Courbeta.

Na czele malarzy holenderskich stoi *Józef Isrëls*, który w swych obrazach rodzajowych z wielką ekspresyą i ze szczerem współczuciem maluje biedę i nędzę. Takim jest jego „Proletaryusz" i „Pracownik morza."

Zbliża się do niego cokolwiek także Bawarczyk *Uhde*, znany ze swych scen ewangielicznych, odtworzonych ze szczerem i głębokiem uczuciem religijnem. Wystawił w tym roku wspaniałe wielkie płótno, zwracające powszechną uwagę: „Droga do grobu", które ma tę jedynie wadę, że zanadto przypomina „Złożenie do grobu" Tycyana.

Danja ma za przedstawiciela *Kroyera*, który wystawił wielki pejzaż; „Wieczór nad Skagenem", odznaczający się nietylko technicznem wykończeniem i wytwornością, ale zarazem harmonią, delikatnością tonów i trafn., a subtelną obserwacyą przyrody; i co najważniejsza, z płótna tego przemawia dusza pejzażu, a więc nastrój udzielający się widzom.

Nie naturalista odtworzył te zewnętrzne szczegóły widoku na wybrzeżu morskiem, ale malarz-poeta zaklął w barwy łagodną, kojącą harmonię pogodnego letniego wieczora, rozlewającego dziwny urok pomiędzy bezmierną zlekka falującą powierzchnią morza, a czystym błękitem nieba.

Malarstwo *amerykańskie* celuje głównie w obrazach rodzajowych, zakrawających niekiedy na epopeje, i w dziale portretu. Wspomnijmy tylko o bardzo udatnym portrecie Józefa Hofmana, pędzla *Shounona*. Portrecista ten według modnej dzisiaj metody pogrąża całą postać w sztucznym półcieniu, przypominającym sposób malowania Carrière'a; tylko że u Carrière'a jest to szczerą wizyą atmosfery, tutaj zaś czysto technicznicznym środkiem dla wywołania sztucznego efektu. Shounon używa środka tego zręcznie, a zarazem roztropnie i umiarkowanie — i przyznać trzeba, że blada twarz Hofmana i ręce, spoczywające na klawiaturze, bardzo efektownie wy obywają się z półcienia. Portret robi wrażenie.

Na zakończenie jeszcze o jednym portrecie słów parę. Sara Bernhard ma co rok swój portret w salonie. Tym razem malował ją hiszpański malarz, mieszkający w Paryżu *Antonio de la Gandara*, który prześcignął samego siebie. Artysta przedstawił sławną aktorkę z tyłu, uwydatniając linię stanu, a z twarzy ukazując słaby tylko profil, bardzo schlebianego rysunku. Wysmukła postać twarzy w białej przylegającej sukni, bardzo ładnie wydobywa się z ciemnego zupełnie tła.

Hawkins i Gandara dali dwa nie najwierniejsze, ale najefektowniejsze wizerunki kobiet współczesnych. *L. S.*

FACHOWIEC.

Powieść współczesna Wacława Berenta. Warszawa 1895.

Powieść tę spotkała bardzo pochlebna krytyka w warszawskich czasopismach i rzeczywiście zasługuje ona na nią w zupełności ze względu na piękność swoją jako utwór literacki. Tu chcemy o niej pomówić z innego punktu widzenia, dla nas bowiem jest ona przedewszystkiem dokumentem historycznym. przyczynkiem do naszej historyi ostatnich lat trzydziestu. Oto treść powieści w najgrubszym zarysie: Kazimierz Zaliwski pochodzi ze sfery szlacheckiej, prawdopodobnie syn zubożałej rodziny ziemiańskiej. Został sierotą i wcześnie myśleć musiał o sobie i młodym braciszku. Naturalnie przedewszystkiem uważał za konieczne skończyć szkołę, i mordując się, nadrywając siły dziecięce dowlókł się do ósmej klasy gimnazyalnej, żyjąc z groszowych lekcyi, tak zwanych w Warszawie korepetycyi. Po otrzymaniu „patentu dojrzałości" trzeba było wybrać jakiś zawód; poszedł więc do fabryki, został fachowcem, prostym robotnikiem, marząc na przyszłość o dźwiganiu przemysłu polskiego, o zbliżeniu się do ludu, no i o stanowisku, które mu zapewni byt i pozwoli wychować młodszego brata. Poszedł i zawiódł się. Fachowcem został, ale dźwiganie przemysłu polskiego, na tem się skończyło, że dorabia jakiegoś tam spekulanta; do roboczego ludu nie zbliżył się, bo wnioskując z końca powieści został majstrem, vulgo „poganiaczem bydła roboczego", jak trafnie acz grubiańsko ci panowie w fabrykach określają sami swoje stanowisko; no a posada dyrektorska ominęła go, bo ten chłopiec o czułej duszy właśnie jak najmniej nadawał się do fachu.

Otóż takich Zaliwskich mamy w Kongresówce dziesiątki, może setki nawet. Ciekawe, poco oni tak poszli marnować się? Rzecz miała się tak. Ci ludzie byli młodymi w czasie, kiedy w Warszawie głosem trąby rozlegały się nawoływania do „pracy organicznej", kiedy na scenie teatru pan inżynier był najsympatyczniejszą figurą; kiedy nasi poeci wyśpiewywali „nowe Credo", kiedy maszyna była dla nich najmilszą czarodziejką, a huk młotów przekładali nad dźwięki pobudki i pieśń słowiczą. Jeżeli dziś zastanowimy się nad tym programem pracy organicznej, to z postrzępionych jego draperyi wyziera trupia twarz. Mieszczańskie „enrichez vous!" oto treść tego programu. Naturalnie, wyraźnie tego nie powiedziano, owe hasło burżuazyjne ubrano w cały arsenał ideologicznych dodatków zatopiono w powodzi frazesów. Toż tam był i patryotyzm, chodziło przecież o przemysł polski; były idee postępowe, starą biblię zastąpiono księgami Darwina, Haeckla, Büchnera; był demokratyzm, — używano do pozbycia się naleciałości szlacheckich. Ale w końcu na tem się skończyło, że zbankrutowana szlachta szukała i znalazła sobie miejsce w nowych warunkach społecznych i z właścicieli dusz chłopskich poddańczych zamieniła się powoli w burżuazyą wielką i drobną, jak na co kogo było stać. Dziś mamy Wokólskich i Połanieckich, kupczących majątkami lub robiących majątki na dostawach dla wojska. Zawsze mnie zaciekawia, czy taki Wokólski sprzedawał zawsze rzeczywiście świeży owies, i czy taki Połaniecki cofnąłby się przed lukratywnym interesikiem w rodzaju owego pobożnego banku pana Saccard z „L'argent". — Mamy też i handlarzy bielizny, mięsa, pieczywa z nazwiskami na „ski". Mamy i chwalić Pana Boga za to. Ale gdy sobie pomyślę, że ta nowa burżuazya polska wyrosła na glebie użyźnionej zmarnowanemi siłami takich Zaliwskich, to żal mnie bierze serdeczny. Ci nasi fachowcy rzeczywiście drogo opłacili marzenia swoje, czego najlepszym dowodem jest bohater p. Berenta. Posiada on żywą, wrażliwą, płomienistą duszę, pała rządzą oddania swoich młodych sił na usługi swego społeczeństwa, i oto dokoła siebie słyszy frazesy o „pracy organicznej", o „pracy u podstaw", o „trzeźwym liczeniu się z warunkami".

Frazesy te powtarza mu jego „protektor", spekulant i właściciel fabryki p. Kwaśniewski i studenci znajomi pisujący artykuły do „Postępu", a nawet panna Helena, która sama również ma zamiar w przyszłości „pracować praktycznie" i to bardzo praktycznie, a tymczasem czyta „Teoryę poznania" Wundta i powiada, że to jest „dobra rzecz". Wszyscy ci dobrzy ludzie rozprawiają o tem, a tymczasem czytują „dobre rzeczy" i „Postęp". Zaliwskiemu to nie wystarczyło. Znać gorętszą miał duszę i zabrał się do przetapiania owych myśli w czynów stal. Wskazano mu fabrykę mówiąc: „oto najlepsza szkoła dla młodzieży, oto najlepsza politechnika, najszczytniejszy uniwersytet". Poszedł tedy do fabryki. Łatwo to powiedzieć, ale żeby ocenić co to jest fabryka, trzeba ją poznać bardzo z blizka. Fabryka to jest mechanizm do przerabiania siły mózgowej, nerwowej i mięśniowej na „nadwartość", mechanizm doskonały, w którym wszystko ma wyznaczone sobie miejsce. Prócz materyału nieożywionego, maszyn, materyału surowego, materyałów pomocniczych, trzeba tam materyału żywego — rąk i głów. Rąk potrzeba dużo, głów mało. Głowy te siedzą w biórze, głowy tęgie, wyszkolone, pozbawione marzeń niedorzecznych i snów, ale kalkulujące i konstrujące z matematyczną dokładnością.

Pomiędzy owemi głowami i rękami istnieje łącznik pewien. Jest to osobnik wcielający oczy, uszy i kułak. Dusza mu nie potrzebna, ma on widzieć, słyszeć, rozkazywać i poganiać owe ręce, w czem dusza byłaby niepotrzebną zawadą. Otóż z naszego Zaliwskiego postanowiono zrobić taki ważny bardzo organ fabryczny. Więc naprzód wyciągano z niego duszę. W tym celu postanowiono go do jakiejś heblarki. Taka heblarka żelazna jest doskonałym do tego narzędziem: wypija ona duszę kroplę po kropli, jak wampir w bajce krew wysysa. Ten proces zabijania młodej ognistej duszy przedstawił nam p. Berent z okrutną prawdomównością. Jego bohater traci stopniowo zapał, fantazyę, potem czułość, potem ambicyę, staje się brutalnym, tępym, płaskim, i w chwili, kiedy go autor opuszcza, jest już wcale nie ciekawym okazem rodzaju h o m o s a p i e n s, a w dodatku, sądząc z tego, jak go traktuje „pracodawca", jest wcale nieszczególnym majstrem, co nas zadziwiać nie powinno, gdyż na „poganiacza bydła" trzeba ludzi innego rodzaju niż on. Naturalnie panowie pisujący do „Postępu" odwrócili się od niego; bo też co oni mogli mieć z nim teraz wspólnego. Odwróciła się też panna Helena, która najpewniej celu swego nie dopięła. Pozostał Zaliwskiemu jeden tylko przyjaciel, robotnik Andrzej. Z całego kalejdoskopu typów, jaki dla bacznego obserwatora przedstawia klasa robotnicza, p. Berent wybrał typ charakterystyczny czysto warszawski, jak zresztą wszystkie jego postacie są nieodrodnemi dziećmi Warszawy. Ten Andrzej to robotnik nie głupi, i on ma duszę ognistą, ale drzemiącą pod powłoką kurzu, sadzy, brudu fabrycznego, ale niezłamaną, niezwichniętą niczem, i to mu daje przewagę w życiu, jako osobnikowi lepiej zastosowanemu do warunków. Tak na przykład kiedy biednego Zaliwskiego znieważył pan fabrykant, on biedny umie tylko płakać i dusić się wściekłością. Andrzej zaś, dowiedziawszy się o tem, nie rozumował długo, poszedł najspokojniej w świecie i „sprał" pana fabrykanta. Za to posiedział w kozie, co przyjął jako bardzo naturalną i logiczną konsekwencyę.

Na zachodzie z takich Andrzejów powstawali fachowcy, majstrowie fabryczni. My musieliśmy na to oddać Zaliwskich i dla tego są oni minusami w budżecie rezultatów pracy organicznej. Dobrze, że p. Berent zaznaczył ten minus wobec takich plusów jak Wokólski i Połaniecki, których nasi poeci uważali za bohaterów godnych swego pióra.

Spieszę jednakże zastrzedz się: Utwór pana Berenta jest powieścią, jest utworem poe-

tąkim. a nie rozprawą, i to, co powiedzieliśmy powyżej, można tylko z powieści wywnioskować, nie wyczytać. Czynimy to zastrzeżenie dla tego, żeby ci, co nie znają powieści, nie powzięli przekonania, że jest to „robota“, gdzie na każdym kroku szydło tendencyi wychodzi z worka. Może nawet pan Berent, pisząc swoją powieść, zupełnie nie to miał na oku. Tem lepiej dla niego, jeżeli każdemu z czytelników nasuwa się przedewszystkiem inna strona jego utworu, jako rzecz najgodniejsza uwagi. W każdym razie poza ową stroną społeczną powieści są tam prawdziwe perełki w opisach. Świetnym n. p jest opis mechanizmu fabrycznego, świetnym opis pożaru fabryki. Przepyszni są ci młodzi prowodyrzy opinii publicznej, zmieniający poglądy i przekonania jak rękawiczki; doskonali również są cyniczni praktycy, co w handelku fetują młodego fachowca, drwiąc w duszy rok rocznie z wszelkiej ideologii, gdyż wiedzą doskonale, że w gruncie rzeczy chodzi tylko o nabicie kieszeni. A już wprost wysoce dramatyczną jest scena, kiedy Zaliwski złamany, zrozpaczony życiem spaczonem, daje odprawę tym gadułom, co przyczynili się do jego klęski, a teraz z równą bezmyślnością gadają mu o najnowszej seryi swoich przekonań i poglądów. Wogóle piękności baczny czytelnik znajdzie tu wiele. co już inni lepiej od nas wyrazili. Pozostaje nam tylko wraz z nimi podziękować panu Berentowi za dostarczoną przyjemność artystyczną i powinszować mu tej pierwszej powieści.

-ski.

Tomasz Henryk Huxley.

(Dokończenie.)

Do 1859 roku Huxley był specyalistą. Sam on powiada, że już w 1850 roku porzucił on „Kosmogonię pięciora ksiąg“. W studyum, jakie Huxley zrobił nad filozofem angielskim z XVIII wieku, Dawidem Hume'm, bardzo dokładnie możemy prześledzić wpływ Kartezyusza na dojrzewającego uczonego. Tem niemniej do pozytywnych wniosków Huxley nie doszedł przed pojawieniem się wiekopomnego dzieła „O powstawaniu gatunków“. Dzieło to — mówi Huxley — było Kolumbowem jajkiem dla mnie. Od 1860 roku Huxley bierze broń do ręki i staje jako szermierz teoryi ewolucyi. W Oxfordzie staje on do walki z biskupem Wilberforce; sala przypatrywała się turniejowi z powstrzymanym oddechem. Ciężka atmosfera tradycyjnych poglądów zaciążyła nad zgromadzeniem; zdawało się, że ewolucyoniści nie zdołają nawet przeniknąć do mózgów słuchaczy. Gdy wszakże z ust Huxley'a zaczęły ulatywać jasne i spokojne słowa, streszczające tyle badań i tyle prawdy, obłoki się rozpraszały, jakby przeszyte promieniami świetlnemi. Mnóstwo chmur, naładowanych tradycyjnem veto, ulatywało w górę, ścigane przez gorącą wymowę apostoła ewolucyi. Powoli atmosfera się zmieniła, a gdy na ustach mówcy konały ostatnie słowa obrony, w głowach słuchaczy rodziły się nowe myśli i nowe poglądy na „stanowisko człowieka w przyrodzie“.

„Ludzie skarżą się — pisał Darwin do Huxley'a — na nierówny podział bogactw, ale jest to daleko większą krzywdą i wstydem, jeżeli jeden człowiek może napisać tyle świetnych prac, ile pan ostatnimi czasy napisałeś“. Moglibyśmy dodać do tych słów Darwina, że prócz może kilku zawistnych nikt się nie skarży na to bogactwo geniuszu Huxley'owskiego, a ludzkość w nim nie wstyd jeno źródło ożywcze widzi i widzieć będzie.

Zwycięztwo to nie zaspokoiło Huxley'a. „Wrażliwy i energiczny temperament“ odziedziczony po matce kazał mu dalej walczyć. Przejęty wielkością znaczenia teoryi ewolucyjnej, szermierz z natury, apostoł niejako z powołania, Huxley postanowił zaznajomić cały naród ze zdobyczami wiedzy. W tym celu zorganizował on szereg wykładów popularnych dla klasy pracującej. Odczyty te, znane pod nazwą odczytów na Jermyn ulicy, stały się punktem wyjścia dla zorganizowanej oświaty ludowej, która nigdzie nie doszła do takich rozmiarów jak w Anglii. W ten sposób Huxley spopularyzował naukę jak nikt dotychczas tego zdziałać nie umiał. Zapał, prostota i logika uczyniły zeń największego popularyzatora. „Świeckie kazania“ Huxley'a są dziś własnością narodową: żadna książka nie zdziałała tyle dla swobodnej myśli w Anglii, co ten zbiór odczytów i artykułów. Później Huxley przeniósł swą działalność apostolską do Szkocyi. Pierwszy odczyt jego miał się odbyć w kościele jednego z niepaństwowych odłamów protestantyzmu. Cała religijna Szkocya była zaniepokojoną; Edymburg wrzał odgniewu; Glasgow się pienił od fanatyzmu. Co to będzie — pytali się trwożnie wyznawcy prawdy, gdy widzieli jak z zaciemnionych przesądami i ponurych nocą uprzedzenia oczu sypały się zwłowrogie błyskawice gniewu, nieświadome swego pochodzenia i kierunku. Huxley niestrwożony niczem zjawił się i mówiąc „O kawałku kredy“, odkrywał przed oczami tłumu tysiączne tajemnice przyrody. I w Szkocyi oczy przejrzały, utracając swe powłoki ciemności. Nie ulega dziś wątpliwości żadnej, że Huxley'a można bez najmniejszej przesady nazwać twórcą współczesnego liberalizmu naukowego i politycznego Szkocyi.

Przechodzimy teraz na teren polityczno-społecznej działalności Huxley'a. Pomimo tego, że był on zawsze w walce z kościołem państwowym, że jawnie przyznawał się do agnostycyzmu, zarówno królowa jak i ciała prawodawcze zapraszały Huxley'a do wszystkich niemal komisyi królewskich, w których wskazówki i rady męża nauki były rzeczą konieczną. To też widzimy go w komisyi, badającej choroby zaraźliwe, w komisyi reformującej uniwersytety, w komisyi rybołówstwa, a w 1882 roku Huxley zostaje mianowany inspektorem połowu łososi. W kraju, jak Anglia, gdzie biurokratyzm nigdy nie miał siedliska, czynności administracyjno-społeczne wykonywane są przez ludzi kompetentnych. Daleko ważniejszą wszakże pod względem doniosłości społecznej była działalność Huxley'a na polu reformy szkolnictwa, zagajonej przed 1870 rokiem.

Oprócz Mathew Arnold'a Anglia nie posiadała bardziej wymownego i gorącego zwolennika reformy szkolnej, jakim był Huxley. Jego artykuł o „nihilizmie administracyjnym“, jak on nazwał bierność państwa na polu oświaty, jest jeszcze dziś cytowany jako najdobitniejszy wyraz protestu przeciw anarchii, panującej do dziś dnia w angielskim systemie oświaty narodowej. W 1870 roku przyszła do skutku reforma szkoły ludowej. Nowe prawo, zachowując zasadę samorządu rad szkolnych, tem samem pozostawiło kościół państwowy panem szkół. Zjawiła się zatem potrzeba walki z anglikanizmem; zarówno nonkonformiści (schizmatycy protestanccy), katolicy jak i ludzie innych wyznań podnieśli rokosz przeciw przywilejom jednego wierzenia. Na czele walki stanął Huxley. Wybrany w 1870 roku do londyńskiej rady szkolnej, zmusił on przywilej do złożenia broni; ustanowiony kompromis wprowadza zasadę tolerancyi do szkół ludowych i wyzwala nauczanie z pod wpływu klerykalizmu.

W 1885 roku Huxley znużony walką, której oddał wszystkie siły, składa ze siebie wszystkie urzędy i godności oraz oddaje się pracy cichej. Raz tylko — i to w 1890 roku — Huxley wysunął się naprzód z bronią w ręku przeciw sentymentalnemu przyjęciu, jakiego Armia Zbawienia doznała ze strony klas posiadających. Nie ulega wątpliwości żadnej, że „armia zbawienia“ ma tylko szkodliwy wpływ na rozwój umysłowości warstw biednych; powodzenie wszakże tej armii mistyków i szalbierzy nie jest wyłącznie płodem przesądu. Warunki społeczne, przy których morze nędzy rozlewa się po kraju, pędzone siłą niekontrolowaną i nieujętą przez porządek państwowy, sprzyjają zagnieżdżeniu się mistycyzmu bałamutnego. Jasnem jest, że z punktu widzenia naukowego Huxley ma słuszność, chłoszcząc poglądy Rousseau'a lub metafizykę praw naturalnych; niemniej błądzi on wtedy, gdy obecne fermy współżycia chce ująć w skrzepłą i wieczną skorupę. Huxley, ewolucyonista, gdy ma do czynienia z utopiami społecznemi lub z wybrykami demagogów, szukających wywyższenia się przy pomocy czczych deklamacyi o równości ludzkiej, Huxley wpada wtedy w ostateczność, przecząc podstawowym zasadom swego własnego światopoglądu.

Tę samą jednostronność spotykamy u Huxley'a w jego polemice z Gladstonem. Jak wiadomo, w „wielkim starcu“ z Hawarden siedzi obok oportunisty politycznego i zacietrzewiony, fanatyczny teolog. Ztąd walka między Huxley'em a Gladstonem, ztąd niechęć umysłu pozytywnego do mglistych teoryjek polityka. Walka ta wpłynęła zapewne i na to, że Huxley przyłączył się do obozu unionistów. W polityce zresztą, w kuchni parlamentarnej Huxley nigdy nie przyjmował żywego udziału. „Unikałem — mówi Huxley — bardzo starannie polityki, a dziś już za późno (w 1886 r.) dla mnie myśleć o wkroczeniu na to pole, ale gdybym był politykiem, walczyłbym przeciw projektowi home rule*), póki by mi życia starczyło.... Rządzenie krajem według recepty przeciętnego przekonania jest tylko kołową drogą, którą się idzie do djabła...“ Widzimy w tych słowach i wstręt do oportunizmu Gladstone'a i wpływ Hobbes'a, materyalisty i zwolennika określonego rządu z góry.

Porzućmy wszakże to pole najeżone kolcami, by uprzytomnić sobie ostatnie chwile jednego z filarów wiedzy współczesnej.

W marcu b. r. Huxley zachorował na influenzę, po której przyszły zapalenie płuc i zapalenie nerek. Lekarze jednomyślnie podziwiają olympijski spokój, z jakim 70-letni starzec walczył z chorobą w przeciągu kilku miesięcy. W czerwcu zjawiły się oznaki choroby sercowej. Huxley z pogodą umysłu prawie że niezrozumiałą zdał sobie sprawę ze swego położenia. Dnia 29 czerwca o godzinie 3 minut 40 wielkie serce bojownika i apostoła bić przestało; wraz z sercem zastygł olbrzymi mózg, odzwierciadlający sobą poznanie XIX wieku.

Huxley przestał żyć na ziemi; Huxley wiecznie żyć będzie w dziejach ludzkości.

W. Nadolski.

P. S. W 1894 roku rozpoczęto zbiorowe wydawnictwo popularnych prac Huxley'a p. t. „Collected Essays“. Dotychczas ukazało się dziewięć tomów. Cena tomu wynosi 5 szylingów.

*) Prawie wszyscy uczeni angielscy, z wyjątkiem Roscoe i kilku innych, pomimo liberalizmu swego oświadczyli się przeciw home rule. Po części klerykalizm irlandzki i krzykactwo polityków „Zielonej wyspy“ wywołały tę niechęć uczonych do sprawy irlandzkiej.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Sytuacya monetarna i ekonomiczna w roku 1895.

Antwerpia, 7-go sierpnia.

Pod powyższym tytułem ukazała się świeżo w drukarni Lahure w Paryżu nader zajmująca broszura E. Kleinmanna, którego liczne prace w zakresie bankowym cennych nieraz finansistom i ekonomistom dostarczały wskazówek.

E. Kleinmann, obecny administrator „Crédit Lyonnais“, kierował przez czas dłuższy filią olbrzymiej tej instytucyi finansowej w Egipcie, a podróżując przytem wiele, badał na miejscu sytuacyę finansową kraji, w których „Crédit Lyonnais“ posiada swe agencye. Przemawia więc tutaj handlowiec, bankier, który ze sporym zasobem teoryi, długoletnią łączy praktykę.

W świeżej swej publikacyi śledzi autor:

1) modyfikacye dokonane od lat dwudziestu w produkcyi srebra i najprzedniejszych towarów;

2) znaczne rozpowszechnienie maszyn w przemyśle oraz rozprzestrzenienie sieci kolei żelaznych;

3) wzrastającą szybkość i taniość transportów morskich.

I tak wedle zestawień statystycznych, które z dziełka jego czerpiemy, wynosiła:

	w r. 1880	w r. 1893
produkcya srebra ton	2.327	5.030
„ miedzi „	153.959	303.530
„ żelaza stali (Europa) ton	17.518.000	30.321.000
„ zboża ton	52.600.000	67.120.000
„ bawełny ton	1.645.000	2.322.000
dowóz wełny do Europy ton	311.360	567.030
koleje żelazne kilometrów	367.020	600.000
transporty morskie ton	20.348.071	24.963.499,

podczas kiedy liczba mieszkańców Europy, wynosząca w roku 1880 322 miliony, wzrosła w roku 1894 do 364 milionów. Przyrost więc ludności bez porównania był powolniejszym aniżeli rozwój produkcyi w odpowiednim przeciągu czasu. Pod względem socyalnym oczywista z tego korzyść, ile że masy dla zaspokojenia swych potrzeb daleko większą rozporządzają ilością produktów.

Wedle Kleinmanna przesilenie monetarne nie stoi w stosunku bezpośrednim do przesilenia handlowego.

Przyczyny pierwszego są:

a) Wzrastająca bezustannie deprecyacya srebrnego kruszcu.

b) Ogólne prawie usiłowania zredukowania ad minimum obiegu srebra jako monety wewnątrz kraju.

c) Radykalne zmiany w transakcyach monetarnych z zagranicą.

Posługiwanie się srebrem w transakcyach międzynarodowych ustaje coraz więcej. Zakupy w Stanach Zjednoczonych, Rosyi, Turcyi i Egipcie wyłącznie złotem bywają soldowane. Ludy nad morzem Czerwonem zamieszkałe, które lat dziesięć temu talary Maryi Teresy znały jedynie, dzisiaj złota wyłącznie w zamian za swe towary wymagają.

Zwolennicy podwójnej waluty zapominają, że rzadkość i obfitość stanowi o wartości produktów. Tam też rzeczywistego czynnika ceny szukać należy. Kleinmann nadmienia, że deprecyacya cen spotyka przedewszystkiem towary, na wielką skalę produkowane, które na poszczególne rynki z wszystkich części globu sprowadzać się dają. Ceny towarów, których produkcya względnie bywa ograniczoną, podniosły się w niej tak n. p.:

	1845-50	1880	1895
Kawa	100	151	175
Tabaka	100	180	233
Mięso	100	119	140
Drzewo	100	105	105

Dyskont nigdy nie był łatwiejszym ni mniejszym podlegał fluktuacyom. We Francyi np. stopa 3-procentowa od roku 1889 do 91, wynosiła w następnem trzechleciu (91—94) $2^{1}/_{2}$ proc. w roku 1895 zaś tylko 2 procent. Wszystkie te dane znikają niepostrzeżone w oczach ludzi, którzyby do wolnej monetyzacyi srebra powrócić pragnęli; nie większą zwracają oni uwagę na zmiany systemu monetarnego, jakie się w poszczególnych krajach dokonują. Reforma monetarna w Austryi opartą jest na podstawie złotej waluty. Podobną rezolucyą przyjęła świeżo republika Chile. Rosya zatwierdziła wypłatę w złocie pożyczek prawnie zakontraktowanych. W Indyach wolna monetyzacya srebra zawieszoną została 26 czerwca 1893 roku. — Pożyczka Chińska przez Rosyą zagwarantowana złotem ma być wypłaconą. Opłata procentów kosztować będzie Chiny rocznie 16 milionów franków w złocie, nie licząc innych pożyczek później zaciągniętych i w złocie płatnych. Tym sposobem Chiny zmuszone będą niejako do zaprowadzenia waluty złotej. Kleinmann przypuszcza, że Chiny za przykładem Rosyi rozpoczną od pobierania ceł w złocie. Japonia zainkasuje 1250 milionów franków w złocie odszkodowania wojennego. Tutaj zastanawia się autor nad kwestyą, czy rząd Mikada nie skorzysta z tej sposobności do zaprowadzenia waluty przyjętej przez większość narodów europejskich.

Deprecyacya przedniejszych towarów — tak konkluduje autor broszury — wypływa z rozwoju produkcyi i ze zniżki ceny ich samokosztu; nie pozostaje ona w żadnym stosunku do systemu monetarnego poszczególnych krajów. System monetarny oparty na jednoczesnem i dowolnem użyciu dwóch kruszców, których stosunek waży się pomiędzy 1 do $15^{1}/_{2}$ i 1 do 30-stu bez najmniejszej możności ustanowienia propozycyi stałej, jest systemem godnym potępienia. — Jedynym rzeczywistym środkiem międzynarodowej wymiany jest waluta jednolita, na stałej i niezmiennej oparta podstawie, taką jest waluta złota. Srebro odgrywać tylko może pośledną rolę monety zdawkowej.

Bolesław Krzyżański.

KRONIKA LITERACKA.

Obrazy w Łazienkach. Jak donosi „Świet“, wkrótce wyjdzie z druku opis wszystkich obrazów, znajdujących się w czterech pałacach cesarskich w Warszawie. Wydawnictwo to podjęto z powodu przeniesienia z pałacu łazienkowskiego do Ermitażu w Petersburgu pięciu obrazów.

* * *

Antropologia krajowa. Na ostatniem posiedzeniu komisyi antropologicznej krakowskiej akademii umiejętności, z wielkiem uznaniem przyjętą została praca członka tejże komisyi, p. Adama Zakrzewskiego, „O charakterze antropologicznej ludności Warszawy“.

* * *

* **Plotki w prasie**. Wszędzie i zawsze ludziska kłócą się pomiędzy sobą i naturalnie, używają najrozmaitszych środków, ażeby tego, przeciw komu czują niechęć, zdeskredytować. W małomiasteczkowem życiu czyni się to za pomocą plotek, puszczanych pokątnie, które w miarę tego, jak przechodzą z ust do ust, nabierają większej mocy, aż wreszcie stają się głosem utartej opinii publicznej — bez odwołania. Idzie tam zwykle o drobne, codzienne urazy: Pani doktorowa sprawiła sobie modną suknię i zaćmiła panią aptekarzową, która tego nie może jej przebaczyć, panna Eufemia, zakochana w młodzieńcu, noszącym jaskrawe krawaty, doznała afrontu, bo ów lew pacanowski zwrócił swoje wejrzenie w innym kierunku. Ale nie zawsze tak bywa, t. j. nie zawsze pobudki dostarczą drobne ambicyjki. Kupiec z kupcem współzawodniczą o sprzedaż pieprzu, pan oberzysta rad byłby swego sąsiada powiesić na pierwszej lepszej gałęzi za to, że ten posiada więcej gości, starszemu doktorowi młodszy Eskulap, który tylko co przybył z ławy uniwersyteckiej i stanowi pożądaną partyę dla panien wrejących walką, odbiera klientelę. W takich wypadkach plotki stają się narzędziem usunięcia rywala, jeden więc lekarz zarzuca drugiemu nieznajomość najkardynalniejszych zasad medycyny, rzuca nawet podejrzenie na jego charakter moralny. Gdybyśmy zajrzeli do kroniczki miast prowincyonalnych i tam spędzili czas niejaki pomiędzy rejentami, adwokatami i lekarzami, to znaleźlibyśmy się w osobnem bagnisku plotek i oszczerstw wzajemnych — dla chleba!

Bynajmniej nie dzieje się lepiej w piśmiennictwie, ba, rzecz przybiera nawet gorszą fizyognomię, ponieważ w potrzebie wzajemne urazy mogą wyciągnąć plotkę z ukrycia i podać ją w łamach dziennika czytajacej publice. Ktoś, stojący zdala od koteryi i koteryjek literackich, znając tylko utwory literackie, zwykle wyrabia sobie o ludziach pióra pojęcie najopatrzniejsze. Zanadto wierzy on w rozum różnych rzemieślników, zarobkujących piórem. Czytelnikom nawet przez myśl nie przechodzi, że talent literacki zgoła nie chodzi w parze z wykształceniem i uczciwością — trzeba posiadać pewną dozę dowcipu, niejaką łatwość wysłowienia się, cietość języka, i karyera już ściele się jako równa droga. Powtóre, ludziskom się zdaje, iż ci, co piszą, są ulepieni z bardzo szczególnej gliny, tak szczególnej, że mówią tylko prawdę, obcy wszelkiej prywacie. Niestety, chyba jedno pomiędzy primadonnami menuetów na pięcie jest więcej drobiazgowości. Zwłaszcza ci, co trzymają krytykę w swojem ręku, umieją używać i nadużywać onego przywileju. Niektórzy z nich broją jako prości zbójnicy.

W świecie literackim współzawodnictwo o sprzedaż swojego towaru podobnie toczy się, jak w każdym innym geszefcie; drobne ambicyjki rej wodzą, zazdrość na jaw wypływa. Wszystko to posługuje się piórem. Puszcza się tam plotki i ploteczki, które kursują pomiędzy łatwowiernymi i czynią swoje. Nie wszystkie są do druku przeznaczone i nie wszystkie też ukazują się w druku. Ta okoliczność właśnie sprowadza nas w jądro sprawy, które znagliło nas do wzięcia pióra. W Warszawie plotki krążą najrozmaitsze i niekiedy najdziksze — w sferach dziennikarskich. Panowie literaci, jak starożytni augurzy, jedynie się uśmiechną ironicznie, kiedy usłyszą i wiedzą, kto i w jakim celu wypuścił strzałę. Ale zawsze znajdzie się jakiś symplicyusz dobrej wiary, lub nawet świadomy swojej złej woli, który plotkę rzuca na łamy dzienników zakordonowych, gdzie ona bez przeszkody rozpowszechnia się. Byłem właśnie świadkiem powstania takiej plotki, która puszczona przez kogoś w sposób żartobliwy, wyrosła w prasie galicyjskiej na telegram, później odwrotnie przedostała się do Warszawy i bodaj czy do dnia dzisiejszego nie uchodzi za coś bardzo autentycznego. W jednej z knajp siedziało grono dzieneikarzy, ktoś nadchodzi z nowiną (przez siebie sfabrykowaną), że jeden z redaktorów został spoliczkowany. Nastały dowcipy i uwagi, wkońcu poznano się na żarcie Ale na trzeci dzień podobne wiadomości zostały opublikowane bodaj że we Lwowie. Obecnie w prasie zagranicznej krąży inna pogłoska — o p. Lesznowskim, redaktorze „Gazety Warszawskiej“. Od kilku tygodni, jak jestem zagranicą, słyszę o niej; pytano mi się o jej autentyczność w Berlinie i w Londynie, ktoś nawet piśmiennie zwracał się. Tymczasem jestem przekonany o tem, że jest w niej tyle prawdy, ile w owym fakciku. O „Gazecie Warszawskiej“ od lat dwóch chodzą najrozmaitsze pogłoski: pewnego dnia dowiadujemy się, że została organem antysemitów i Liebtenstejny i Luegerzy mają w niej pisywać, to znowu, że margrabia Wielopolski nabył ją, ażeby zamienić na swój organ, to wreszcie, że to uczynił hr. Szuwałow. Obracając się w świecie dziennikarskim, nauczyłem się cenić te głosy famy plotkarskiej. Kiedy taka wiadomość pojawi się w redakcyi, przemycana od stolika do stolika, każdy z nas wpuści ją jednem, wypuści drugiem uchem. Ale tak, poza redakcyami jej wierzą i ktoś uchwyci ją i pomoże do zamiany na wydrukowane prawdy.

Rozumiem dobrze, że moim artykułem nie zapobiegnę dalszej praktyce. Podnoszę tę kwestyę tylko dla tego, ażeby zwrócić uwagę, iż tak często się dzieje.

L. Krzywicki.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Książę Ferdynand powrócił do Zofii i powitany został podobno z wielkim zapałem. — W Ischl odbył się zjazd cesarskiej pary austryackiej z królewską parą rumuńską. Obecność hr. Gołuchowskiego nadała zjazdowi temu znaczenie polityczne i wzbudziła różne domysły. — Spotkanie się hr. Gołuchowskiego z ks. Hohenlohe w Aussee zakończyło się pożądaną wymianą myśli: obrady dotyczyły głównie ruchu bułgarsko-macedońskiego. — Na Kubie ruch powstańczy coraz większe przyjmuje rozmiary, mianowicie przez poparcie z zewnątrz, przez posiłki, nadchodzące wbrew zakazom i groźbom Clevelanda, ze Stanów Zjednoczonych. Hiszpania musiałaby całą swą zbrojną siłę morską posłać na Kubę, gdyby chciała odciąć ją od reszty świata i ograniczyć powstańców na własne siły. Tego zaś ze względu na inne kolonie nie może. — W izbie włoskiej podczas obrad nad ustawą o utworzeniu banku kredytowego ziemskiego wywiązała się ponownie gwałtowna kłótnia między dep. Colajannim, a posłami z prowincyi południowych. Powód zajścia był ten, że Colajanni ogłosił artykuł w dziennikach, rzucający podejrzenie na posłów z południowych prowincyi. Izba została odroczoną na czas nieograniczony. — Zmowa mularzy, ceglarzy, cieśli i młynarzy, do której należało w Przemyślu 4000 osób, zakończoną została drogą ugodową. — W okolicy Medyolanu kilkanaście fabryk jedwabiu zostało zamkniętych skutkiem zaprzestania pracy przez robotników. — W Małej Azyi szerzy się straszliwie cholera w wilajetach Adana, Aleppo i Angora. — W kopalniach Ameryki Północnej coraz gwałtowniej wybucha zawiść między robotnikami białymi i czarnymi; w kilku miejscowościach przyszło już do krwawych rozpraw. — W hutach szklanych w Carmeaux wybuchła zmowa robotników. — W Fu-tszeng w Chinach mieszkańcy wymordowali chrześcian. — Według szczegółowych obliczeń skutkiem zatonięcia okrętu włoskiego „Maria-Pia“ straciło życie 101 osób, w tej liczbie 49 dzieci. — Florencya nawiedzoną została trzęsieniem ziemi. — Kopalnia węgla w Auchencharvie została zalana wodą; 14 górników zginęło. — Książę Bismarck rozstał się ze swoim długoletnim sekretarzem, drem Chrysander. Oddawna już doktor był w bardzo złych stosunkach z całem otoczeniem eks-kanclerza, miał wszelako nad nim samym taki wpływ, iż zdawało się, że stanowisko jego we Friedrichsruh jest niezachwiane. Córka księcia wszakże, hr. Rantzau, zdołała pokonać opór ojca i dr. Chrysander dostał dymisyę. Stanowisko jego zajmie zięć eks-kanclerza, mąż tejże hrabiny Rantzau; dr. Chrysander zaś udał się do Jeny, gdzie zamierza się przygotowywać do karyery profesorskiej. Obiegają wszakże pogłoski, iż dymisyonowany sekretarz postanowił napisać książkę o trybie życia we Friedrichsruh i odsłonić niejedną sensacyjną tajemnicę.

* **Teatr i muzyka.** Pani Gabryela Snieżko-Zapolska występowała w Warszawie w tłomaczonej przez siebie sztuce Richepina „Lep“, która jednakże nie znalazła uznania. O występach artystki prasa tamtejsza wyraża się jednak z wielkiem uznaniem. — Paweł Lindau napisał sztukę czteroaktową „Der Andere“, która podczas pierwszego przedstawienia w Lipsku doznała wielkiego powodzenia. — Opera Uricha „Der Lootse“, wykonana pierwszy raz w Charlottenburgu, zyskała ogólne uznanie. — Opera berlińska rozpoczęła sezon jesienny w teatrze Krolla, odpowiednio przerobionym, gmach bowiem opery ma być w ciągu roku gruntownie odrestaurowany.

Zmarli:

* **Antoni Zaleski,** redaktor i wydawca „Słowa“ warszawskiego.

* **Książę Edmund Radziwiłł,** członek zakonu Benedyktynów, autor kilku dzieł treści teologicznej i polemiczno-politycznej w języku niemieckim.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Now. Pan Jan Kasprowicz mieszka stale we Lwowie, gdzie jest współpracownikiem „Kuryera Lwowskiego“.

Od Administracyi.

Zapytujemy, czybyśmy nie mogli otrzymać jednego egzemplarza nr. 14 z r. b. i pod jakiemi warunkami? Pragnie go mieć osoba, której bardzo zależy na kompletnym kwartalniku.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.